



***Fiona Harper***

---



***Melodia miłości***

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jake niewiele wiedział o kobiecie, z którą miał się spotkać - tyle tylko, że nazywała się Serena, a jej ojciec był bogaty.

Serena...

Sam nie wiedział dlaczego, ale kojarzyło mu się to z koniem. Gotów był się założyć, że nosiła bryczesy i pachniała końską sierścią. Niemal ją sobie wyobrażał: włosy spięte w koński ogon i wielkie zęby.

Zszedł z chodnika, przecisnął się między ciasno zaparkowanymi samochodami i szybko przebiegł przez ulicę.

Wilgoć w powietrzu była niemal namacalna, odruchowo więc strząsnął z włosów mżawkę i skrzywił się lekko. Zanim dotrze do restauracji, całkiem przemoknie. Zwolnił, myśląc o czekającym go wieczorze. Nie był wcale pewien, czy ma się do czego spieszyć. Jeśli do swojego końskiego wyglądu Serena nie doda głośnego, rżącego śmiechu, może uda mu się jakoś dotrwać do końca wieczoru i nie uciec przez okienko w męskiej toalecie. Jeśli tam w ogóle jest jakieś okienko...

Powinien był sprawdzić.

Pomyślał, że na przyszłość będzie musiał rozpoznać wcześniej wszystkie drogi odwrotu z miejsc, w których jego przebiegła młodsza siostrzyczka umówi go na randkę.

Chociaż jeśli dobrze się postara, nie będzie żadnego następnego razu. Nadal nie miał pojęcia, jak dał się wmanewrować w to spotkanie. Mel zadzwoniła, kiedy był pochłonięty pracą, pomrukiwał coś odruchowo do słuchawki, przeglądając dokumenty i zanim się zorientował, był już umówiony na kolację z jakąś obcą kobietą.

Pewnego dnia weźmie się za Mel. Stanowczo zbyt często owijała go sobie wokół palca. Był pewien, że specjalnie zadzwoniła do pracy, bo liczyła na

szybkie zakończenie rozmowy. Jak zwykle w takiej sytuacji, dla świętego spokoju przystał na jej propozycję.

Pospiesznie przeszedł przez park i po chwili znowu włączył się w ruch uliczny. Z mapy, na którą zerknął przed wyjściem, wynikało, że do „Lorenzo” jest już niedaleko. Szczerze mówiąc, zdziwił go ten wybór. Z ich strony internetowej zorientował się, że to niewielki rodzinny lokal, jakich wiele w tym mieście. Ostatnio wybierał bardziej luksusowe miejsca, pełne kobiet wystrojonych w drogą biżuterię, mężczyzn z grubymi portfelami i kelnerów kłaniających się przez cały dzień.

Może jednak nie będzie tak źle, pocieszał się. Krytycy kulinarni zachwycali się jedzeniem w tej włoskiej knajpce, jeśli więc zabraknie im tematów do rozmowy, zawsze mogą poruszyć ten temat. Chociaż nie, bo należało raczej założyć, że Serena położy sobie na talerzu dwa listki sałaty i będzie omdlewać z przejedzenia. Jęknął w duchu i po raz kolejny zastanowił się, dlaczego pozwala sobą manipulować. Z każdym krokiem wizja okienka w łazience stawała się coraz bardziej kusząca.

Zamyślony, nie zauważył ani zatkanej studzienki ściekowej, ani nadjeżdżającego z tyłu samochodu. Poczul tylko, jak opada na niego fala brudnej wody i oblewa go od stóp do głów.

Zauważyła tylko ścianę wody w lusterku wstecznym i jęknęła głośno. Była tak zajęta rozmyślaniami o nadchodzącym wieczorze, że nie zauważyła wielkiej kałuży, która tworzyła się tu zawsze po deszczu. Zjechała na bok, zaparkowała samochód i podeszła do ociekającej wodą postaci.

- Och, przepraszam! Tak mi przykro... - zaczęła nerwowo. - Mam nadzieję, że nic się panu nie stało... Jest pan kompletnie przemoczony... Chętnie pana gdzieś podwiozę, jeśli chce pan się przebrać...

Mówiła i mówiła i dopiero po dłuższej chwili przeniosła spojrzenie na jego twarz. Dostrzegła na niej lekki uśmiezek i uważny wzrok, którym

prawdopodobnie wpatrywał się w nią od początku jej chaotycznych przeprosin. Podążyła za jego spojrzeniem i dopiero wtedy zorientowała się, że sama również stoi w wodzie, a jej eleganckie zamszowe pantofelki i długa do kostek spódnica nasiakają wodą.

Uniosła głowę i napotkała całkiem otwarcie rozbawione spojrzenie i miły uśmiech na przystojnej twarzy.

Hm, najwyraźniej ochlapała miłego i przystojnego faceta.

- Co pani mówiła? - spytał lekko roztargnionym głosem.

- Cóż... Po prostu... jedyne, co mogę teraz zrobić, żeby jakoś naprawić swoją winę, to podwieźć pana ...

- To chyba dobry pomysł - zgodził się. - W takim stanie i tak nie mogę pokazać się na kolacji.

- Och! Proszę wybaczyć! - zmartwiła się. - Zepsułam panu wieczór...

- Niekoniecznie... - mruknął jakby do siebie.

- Zapraszam do samochodu - powiedziała szybko. - Jeśli się pospieszymy, może jeszcze da się nadrobić stracony czas.

Podążył za nią do połyskującego metalicznie sportowego auta i wsunął się do środka.

Kątem oka obserwowała, jak przeczesał palcami ciemne, wilgotne włosy. Miał interesującą twarz, chłodne błękitne oczy i mocną szczękę człowieka, który nie boi się podejmować trudnych decyzji. Podobał jej się.

- Niezły wóz - odezwał się z uznaniem.

- To właściwie nie mój samochód - tłumaczyła się z lekkim zakłopotaniem. - Mój jest w warsztacie. Ten pożyczyłam od... przyjaciela.

Nie chciała mówić, że to samochód ojca. Wiedziała, co wtedy pomyśli, trudno przecież o bardziej jaskrawą oznakę kryzysu wieku średniego niż drogie sportowe auto. Nie mógł przecież wiedzieć, że w przypadku jej ojca takie szaleństwa nie mają żadnego związku z przekroczeniem magicznej pięćdziesiątki, Michael Dove był taki od dziecka.

Nie miała w ogóle ochoty poruszać tego wątku, bo wtedy wcześniej czy później musiałyby przyznać się do rodziców. A życie nauczyło ją już, że kiedy na scenę wkraczał jej malowniczy tatuś, ona sama musiała usunąć się w cień.

- Przyjaciela...? - usłyszała podejrzliwe pytanie.

Do licha, pewnie wyczuł pokrętność jej wyjaśnień. Rozparł się w fotelu, przeniósł pełen podziwu wzrok z samochodu na nią i rzucił z uśmiechem:

- Cóż, w takim razie przyjaciel ma doskonały gust. Zarówno jeśli chodzi o samochody, jak i o... kobiety.

Zacisnęła lekko ręce na kierownicy. Dalej, dziewczyno, ponaglała się w duchu, wymyśl jakąś ciętą odpowiedź!

- Dokąd pana podwieźć?

Wspaniale! Naprawdę dobra robota, nie ma co!

- Na Great Portman, to niedaleko.

- Rzeczywiście! - ucieszyła się. - Jeśli się pospieszymy, może uda się uratować pański wieczór.

- Och, w takim razie nie warto się spieszyć - zaprotestował z dziwnym uśmiechem. - Szczerze mówiąc, wyświadczyła mi pani przysługę, niewiele spodziewałem się po tym spotkaniu, a teraz mam doskonałą okazję, żeby je odwołać.

- Naprawdę?

- Tak. Byłem umówiony na randkę w. ciemno z dziewczyną, która przypomina konia, choć nie mam pojęcia, z której strony bardziej - wyjaśnił z ciężkim westchnieniem. - Jestem niemal pewien, że ma wielkie zęby i włosy związane w koński ogon.

Roześmiała się mimo woli..

- Niechcący zostałam rycerzem w lśniącej zbroi, który ratuje niewinną sierotkę przed koszmarną kolacją z kobietą-centaurem!

- Wielkie dzięki, łaskawa pani! - zaśmiał się razem z nią. - Istotnie, jestem pani dłużnikiem. Co pani powie na kolację?

- W ociekającym wodą płaszczu i mokrych butach? - spojrzała na niego rozbawiona. - Poza tym, wcale się nie znamy i oboje mieliśmy inne plany na ten wieczór.

- Chętnie zrezygnuję z moich - zapewnił. - A wspólna kolacja sprawi, że zaraz się poznamy. Jestem Jake.

- Cóż, Jake, to miłe, ale nadal jesteś dla mnie obcym człowiekiem i nic o tobie nie wiem.

- To dlaczego tak szybko wpuściłaś mnie do swojego, o przepraszam, pożyczonego od przyjaciela, samochodu? - spytał podstępnie. - Mogę być przecież szaleńcem, który biega po Londynie z toporem i...

Zamarła. Ten facet miał rację. Tak się przejęła jego losem, że zapomniała o podstawowych zasadach bezpieczeństwa.

- Nie żartuj! - odezwała się tak pewnym głosem, na jaki było ją stać. - Przecież zjawiłam się jak dzielny rycerz i wyratowałam cię z nieszczęścia. Nie ratowałabym maniaka z toporem!

Roześmiał się, i poczuła, jak jej napięcie powoli opada. Właśnie skręciła w jego ulicę, skupiła się więc na wypatrywaniu numerów wiktoriańskich apartamentów z czerwonej cegły.

- Gdzie mieszkasz?

- To już tutaj - powiedział, wskazując jeden z nich. - Na najwyższym piętrze. - Chociaż trzymała ręce na kierownicy i patrzyła przed siebie, czuła, że się w nią wpatruje. - Może wejdiesz na chwilę? - spytał w końcu.

- Nie tracisz czasu... - uśmiechnęła się lekko.

- Wiem, czego chcę, i nie zatrzymuję się, dopóki nie osiągnę celu.

Była bardzo dumna z siebie, że zdołała odpowiedzieć pewnym głosem:

- Przykro mi, Jake, ale mam wcześniejsze zobowiązania.

- A ja nie mógłbym go zastąpić? - spytał bezczelnie.

Zwykle taka pewność siebie tylko ją irytowała, ale tym razem okraszona była dużą dawką wdzięku. Roześmiała się rozbrojona.

- Nie. - Pokręciła głową. Oczywiście wolałaby tego sympatycznego przystojniaka niż nadętego buca, z którym właśnie miała się spotkać, ale nie zamierzała się z tym zdradzać.

- Szkoda. - Uśmiechnął się smutno i trzymając już rękę na klamce, poprosił: - Daj mi chociaż swój numer.

- Nie rozdaję numeru telefonu maniakom z toporem! - zaprotestowała z udawanym przerażeniem. - Nie jestem szalona!

- Szkoda - powtórzył po raz drugi i znowu się uśmiechnął.

Nie miała pojęcia, jak to się działo, ale jego uśmiech za każdym razem był bardziej olśniewający. Powinna jak najszybciej odjechać, inaczej zaraz zgodzi się na tę kolację. A wtedy Cassie ją zabije za to, że wystawiła bardzo „odpowiedniego” faceta, jakiego jej wynalazła.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął pióro i zapisał swój numer na odwrocie wizytówki. Podał jej karteczkę ze słowami:

- W takim razie weź chociaż mój numer. Wyciągnęła rękę i chwyciła wilgotny papier, ale Jake nie puścił go od razu.

- Zadzwoń - powiedział, patrząc jej intensywnie w oczy.

Pewnie przywykł, że kobiety gotowe były zabić za zdobycie tego numeru, a kiedy już go miały, natychmiast dzwoniły. Walczyły w niej sprzeczne uczucia. Z jednej strony miała ochotę wyrzucić kartkę przez okno, a z drugiej schować ją do stanika, żeby na pewno nie zgubić.

Chciała zachować zimną krew, ale nie udało jej się ukryć rozbawienia.

- Rozważę to. Do widzenia, Jake.

Wrzuciła wsteczny bieg i zaczęła wycofywać auto z podjazdu, gdy Jake pobiegł do niej i pochylił się nad oknem od strony kierowcy.

- Czekaj! Nie powiedziałaś nawet, jak masz na imię!

- Nie sądziłam, że to jakakolwiek przeszkoda dla mężczyzny takiego jak ty! - zaśmiała się. - Jeśli naprawdę będziesz chciał, sam się dowiesz - rzuciła przekornie i odjechała.

Po kilku metrach zerknęła w lusterko i z satysfakcją zobaczyła, że Jake stoi z otwartymi ustami wciąż w tym samym miejscu. Lekko zatrąbiła, uchyliła szybę, wystawiła rękę i nie odwracając się, pomachała mu.

No, to było niezłe, pomyślała zadowolona. Może i głupie, ale niezłe.

Szczerze mówiąc, nie chciała zdradzić mu swojego imienia, bo dość już miała rozbawionych spojrzeń i dowcipnych komentarzy.

Do dziś nie miała pojęcia, jaka idea przyświecała jej rodzicom, kiedy wybierali imię dla niej. Serendipity...

Nie znosiła tego imienia. Od pierwszego dnia w szkole stała się obiektem żartów. Dlaczego nie mogli nazwać jej jakoś rozsądnie i zwyczajnie, na przykład Suzan? Ale nie, oni musieli oczywiście za wszelką cenę podkreślić swoją oryginalność i dać upust fantazji. I nie martwiło ich, że ich córka stanie się obiektem niewybrednych żartów.

To dlatego uciekła bez podawania imienia. Szkoda. Wolałaby dać mu swój numer i czekać na rozwój sytuacji. Zawsze podobały jej się awanse w starym stylu. Lubiła być zdobywana i adorowana, choć czasami czuła się z tym bardziej staroświecka niż własna babka.

Parkując już przed restauracją, stwierdziła jednak, że wyraz twarzy Jake'a, kiedy tak stał na chodniku i patrzył za odjeżdżającym samochodem, wart był dużo więcej niż tylko ukrycia imienia. Będzie miała chociaż co wspominać, jeśli Charles Jacobs okaże się przerażająco nudny.

Pchnęła drzwi swojego ulubionego lokalu i zerknęła na zegarek. Tylko pół godziny spóźnienia. Uśmiechnie się, zatrzepocze rękami i Charles wybaczy.

Stała przed wysokim barkiem, osłonięta przed spojrzeniami gości, i syknęła lekko. Nikt nie zareagował, ale słyszała, że w schowku ktoś pobrzękuje butelkami soku. Zajrzała głębiej i zobaczyła kwiecistą suknię opinającą dorodne kształty.

- Ej, Mario!



Kobieta odwróciła się szybko i kilka butelek z hałasem potoczyło się po podłodze. Wyrzuciła w górę ramiona i zawołała głośno:

- Gino, chodź tu szybko! Nasza dziewczynka przyszła! Przechyliła się przez kontuar i pocałowała oboje.

- No, już, nie trzymajcie mnie w niepewności. Jaki on jest?

Gino bez słowa wskazał jej ulubiony stolik. Spojrzała tam i zobaczyła, że jest pusty. Odwróciła się do Gina i spytała, unosząc brwi:

- Jeszcze nie przyszedł?

Stary kucharz potrząsnął głową, najwyraźniej zmartwiony.

- Cóż, w takim razie podaj mi to co zwykle. Poczekam chwilę. W końcu ja też się spóźniłam.

Miała nadzieję, że Charles Jacobs okaże się wart czekania. Zamorduje Cassie, jeśli napuściła na nią jakiegoś nudziarza, który przez cały wieczór będzie opowiadał o swojej pracy. Jej przyjaciółka pragnęła za wszelką cenę ułożyć jej życie, ale nie widziała różnicy pomiędzy „spokojny i odpowiedzialny” a „wyjątkowo nudny”. Serena zgodziła się na tę randkę, bo wiedziała, że łatwiej będzie przetrwać nudny wieczór niż odpierać ataki Cassie.

Sięgnęła po gazetę i bezmyślnie przeglądała kolejne artykuły, kiedy pojawił się przy niej Gino.

- Jest wiadomość dla ciebie - powiedział, wyraźnie przejęty.

Jedno spojrzenie na twarz starego przyjaciela powiedziało jej, że to zła wiadomość.

- Mów szybko, Gino! - popędziła go.

- Powiedział, że bardzo mu przykro, ale coś mu wypadło - wykrztusił z siebie.

Coś mu wypadło? Skrzywiła się z niesmakiem. Jaka żalosna wymówka!

- Tak dokładnie to powiedział, że nie jest w stanie przyjść, ale zaprasza cię jutro na obiad w „Maison Blanc”. - Gino skrzywił się na samą myśl, że ktoś

może jadać w innym lokalu, ale zaraz coś mu się przypomniało i rozpogodził się: - Aha, powiedział też, że dzisiejsza kolacja jest na jego koszt!

Sięgnęła po menu i uśmiechnęła się przewrotnie.

- W takim razie, miły przyjacielu, na początek kawior dla mnie, potem najdroższa przystawka i kieliszek szampana dla każdego z gości. A potem zobaczymy.

- Moja szkoła, dziewczyno! - Gino aż klasnął i zadowolony i podążył do kuchni.

Typowy facet, skrzywiła się, kiedy już została sama. Wystawia ją jednego wieczoru, ale równocześnie zaprasza na jutro, nie zastanawiając się nawet, czy jej to odpowiada. I niewątpliwie jest pewien, że ona się tam zjawi. Co za bezczelny typ! Myśli, że jest aż tak zdesperowana?

Niedoczekanie! Nie miała zamiaru jeść z nim jutro obiadu. Niech sobie siedzi sam w swoim pretensjonalnym lokalu i gra na sztucach!

Z apetytem zabrała się za danie, które przyniosła jej Maria. Kolacja była wyśmienita, jak zawsze tutaj, ale słodkie poczucie zemsty smakowało jeszcze bardziej. Serena rozkoszowała się każdym kęsem, wyobrażając sobie, jak rośnie rachunek pana Jacobsa. Kończyła espresso i zastanawiała się, czy aby na pewno wydała dostatecznie dużo jego pieniędzy. A jakby tak jeszcze po kieliszeczku dla wszystkich?

Hm, może to jednak nie był do końca głupi pomysł, aby iść jutro na tę randkę. Zagrałaby słodką idiotkę, zrobiła zdziwioną minkę i oświadczyła rozkosznie, że nigdy nie była dobra w dodawaniu. No i Cassie nie mogłaby narzekać, że przyjaciółka znowu zaprzepaściła szansę poznania odpowiedniego mężczyzny.

A właśnie, skoro już pomyślała o przyjaciółce... Sięgnęła po telefon i wybrała jej numer.

- Jak idzie? Niezły jest? - Cassie nigdy nie bawiła się w subtelności.

- Cóż... Nie zauważyłam...

- Naprawdę? - zmartwiła się. - Szkoda, byłam pewna, że zaiskrzy. Jego siostra tyle mi o nim opowiadała. Czuję się, jakbym go znała.

- No to masz szczęście - mruknęła Serena. - Bo ja go nie poznałam. Cass, facet się nie pojawił. Przekazał jakieś smętne przeprosiny i zaproponował, żebym coś zjadła na jego koszt. I tu się przeliczył - zachichotała. - Dostanie chyba zawału, jak zobaczy wyciąg z konta. Lepiej przygotuj swoje słynne ciasto marchewkowe na środę, bo inaczej ci nie wybaczę!

- Tak jest! Zrobi się!

- I nie umawiaj mnie więcej na randki w ciemno. Zrozumiano?

- Tak jest, zrozumiano! - powtórzyła posłusznie Cassie, ale Serena mogła się założyć, że w duchu już knuła i szukała kolejnego „odpowiedniego” kandydata.

- Ej, Cass, znam cię - mruknęła ostrzegawczo. - Znajdź inne ujście dla swojej energii. Do zobaczenia w środę.

Odłożyła telefon i westchnęła. Szczerze mówiąc, była zadowolona, że randka nie doszła do skutku. Ciekawe, czy gdyby potrafiła przewidzieć to wcześniej, przyjęłaby propozycję Jake'a? Zerknęła na telefon, który wciąż leżał na stole. Nie miała pojęcia, czy znajdzie w sobie tyle odwagi, aby zadzwonić do Jake'a. Pewnie wyglądałoby to nieco rozpaczliwie i od razu domyśliliby się, że z jej spotkania nic nie wyszło.

Wyjęła z torebki wizytówkę i jęknęła głucho. To już nie ma żadnego znaczenia. I tak nie mogła do niego zadzwonić. Atrament wsiąkł w mokry papier i numer był zupełnie nieczytelny.

Dopiła kawę i podeszła do Marii.

- Do zobaczenia. Przekaż Gino, że jest genialnym kucharzem.

Uściskała ją i wyszła z restauracji. Zaraz za progiem owionęło ją zimne, wilgotne powietrze. Deszcz przestał już padać, a na niebie mrugały pierwsze gwiazdy.

Wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk i miała już wracać do domu, gdy nagle poraziła ją nowa myśl. Może nie zna jego numeru, ale wie przecież, gdzie on mieszka!

Skręciła w prawo i wybrała drogę na Great Portman. Szybko dojechała na miejsce. Zaparkowała pod dostojnie wyglądającą kamienicą, wyłączyła silnik i siedziała w ciemnościach. Po chwili poczuła, jak z zimna drżą jej stopy. Ciekawe, co pomyślałby Jake, gdyby spotkał ją tutaj, siedzącą w ciemnościach przed jego domem.

Musi zachować zdrowy rozsądek, nawet jeśli facet jest tak porażająco pociągający jak Jake.

Opuściła szybę i wychyliła lekko głowę. W kilku oknach na ostatnim piętrze zauważyła rozproszone światło.

Ciekawe, co on tam robi? Ogląda telewizję? Czyta? Pracuje? Czym on się w ogóle zajmuje? I wtedy uświadomiła sobie, że nawet nie zerknęła na drugą stronę wizytówki. Może tam znajdzie odpowiedź na to pytanie, a przy okazji jego telefon służbowy?

Odwróciła rozmiękłą karteczkę i zobaczyła klasyczną czarną czcionkę. Księgowy. Lubiła księgowych. Byli tacy stabilni, rozsądni i wiarygodni. Zupełnie niepodobni do tych wszystkich muzyków, aktorów i artystów, których szybko nauczyła się unikać. Tak, musiała przyznać, że Jake wydawał się jej coraz bardziej interesujący.

Spojrzała wyżej i drgnęła, nie wierząc własnym oczom.

Charles Jacobs!

Charles? Mówił, że Jake!

No tak, ale w końcu ona też przedstawiała się raczej jako Serena. Brzmiało to dużo zwyczajniej niż Serendipity i nikomu nie kojarzyło się z czasami hippisowskimi. Nie powinna się zatem dziwić, że Jake też stronił od staroświeckiego i nudnego „Charlesa”.

Znowu zerknęła na wizytówkę i uśmiechnęła się.

Nieźle, Charlesie Jacobsie. Jutrzejszy obiad zapowiada się całkiem interesująco...

## ROZDZIAŁ DRUGI

Dotarł do „Maison Blanc” kilka minut przed czasem. Wszedł na główną salę, rozejrzał się po pomieszczeniu i nagle drgnął. To była ona. Tajemnicza nieznajoma, która go wczoraj ochlapała. Mógłby przysiąc. Kobieta, o której próbował zapomnieć przez całą zeszłą noc. Siedziała przy stole i sączyła drinka.

Wyglądała zachwycająco. Jedwabiste, brązowe włosy ściągnęła w koński ogon. Duże oczy w kształcie migdałów podkreślone były delikatnym makijażem, miała na sobie sweterek w jakimś dziwnym kolorze, którego z pewnością nie umiałby nazwać. W tym surowym, ascetycznie wysmakowanym wnętrzu sprawiała nieco egzotyczne wrażenie.

Ukrył się za kolumną i zaryzykował następne spojrzenie. Studiowała menu, na razie więc był bezpieczny. Na jej ustach błąkał się tajemniczy uśmiezek, jakby właśnie splatała komuś niezłego psikusa. Odniósł nawet wrażenie, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

Mógłby się tak wpatrywać w nią bez końca. Wczoraj wieczorem, gdy jechali razem przez zatłoczone ulice Londynu, zaklinał każde czerwone światło, aby paliło się jak najdłużej. Był zupełnie zafascynowany jej ruchami, nie mógł oderwać wzroku od srebrnych bransoletek na jej przegubie, pobrzękujących cicho, kiedy zmieniała biegi.

Mimo woli podziwiał chłodny spokój, z jakim porzuciła go na ulicy. Wiedział, że brakowało mu finezji w tej rozgrywce, ale nie było czasu na bardziej subtelne zagrania. Nie chciała dać mu swojego numeru telefonu, szybko

więc wcisnął jej własną wizytówkę. I cały czas zastanawiał się, czy będzie miał okazję spotkać ją jeszcze.

Na szczęście wyglądało na to, że nie musi się już tym martwić. Była tutaj. Wystarczyło podejść, znaleźć jakiś zgrabny pretekst do rozmowy, przysiąść się do niej i spędzić miło następną godzinę.

O, nie! Serena! Niemal zapomniał, dlaczego tu przyszedł. Zerknął na zegarek. Zostały tylko cztery minuty. Musi szybko podjąć jakąś decyzję, nie może przecież tak tkwić za kolumną! Zawołał kelnera, podał nazwisko i poprosił o wskazanie stolika. Przy odrobinie szczęścia będzie siedział w jakimś dyskretnym miejscu i bezimienna nieznajoma nawet go nie zauważy.

Ale widocznie nie miał dzisiaj szczęścia. Szli prosto w jej kierunku. Zadrżał, myśląc, że będzie musiał siedzieć niedaleko niej. Jednak całkiem zbladł, kiedy kelner stanął przy jej stoliku i odsunął krzesło.

Tkwiał przez chwilę bez ruchu. Uśmiechnęła się do niego. Miał ochotę wejść pod stół i przesiedzieć tam resztę dnia.

- Witam, panie Jacobs - odezwała się rozbawionym głosem. - Cieszę się, że pan dotarł... tym razem - dorzuciła znacząco.

- Ty... Czy ty jesteś...

- Serena - pomogła mu. - Miło cię poznać, Charles. Czy może mam raczej mówić Jake?

To nie mogła być Serena. Miała zbyt ładne zęby, pomyślał rozpaczliwie. Ale chyba czytała w jego myślach, bo powiedziała:

- Uczesalam włosy w koński ogon specjalnie dla ciebie.

- Po czym zniżyła głos do szeptu i dodała: - Abyś mógł zdecydować, którą stronę konia bardziej przypominam.

Milczał przez chwilę, przeklinając w duchu swój długi język. Dlaczego wczoraj tak się rozgadał w jej samochodzie? Co go napadło?

- Trafiony, zatopiony - powiedział w końcu.

Widać było, że dobrze się bawiła całą tą sytuacją. Ale chyba nie była na niego zła.

Uniósł lekko ręce w geście poddania.

- Masz mnie - przyznał. - Kiedy się domyśliłaś?

- Och, nie wcześniej, niż mnie wystawiłeś. Po samotnej kolacji znalazłam twoją wizytówkę w torebce. Początkowo obiecywałam sobie, że nie przyjdę, ale rzadko zdarza się okazja do takiej zabawy. - Uśmiechnęła się czarująco i dodała:

- Może zaczniemy od nowa, zgoda?

- Zgoda! - Odetchnął z ulgą i usiadł wreszcie na krześle.

- Charles Jacobs - przedstawił się z uśmiechem. - Ale od dawna nikt mnie tak nie nazywa, tylko moja siostra i to wtedy, kiedy jest na mnie zła. Przyjaciele mówią mi Jake.

- Ja chyba nie muszę przypominać ci mojego imienia - powiedziała, patrząc na niego kpiąco. - Dlaczego Jake?

Westchnął lekko i wyjaśnił:

- Dostałem imię po ojcu. Ale kiedy podrosłem, lałem wszystkich chłopaków, którzy tak do mnie mówili.

Pokiwała ze zrozumieniem głową, uśmiechnęła się i nagle poczuł, że całe napięcie minęło.

- Teraz twoja kolej - odezwał się. - Jak się nazywasz? Zdawało mu się, że zeszywniała lekko.

- Wiesz przecież - Serena. Nie myślisz chyba, że tak naprawdę jestem Mildred albo Ethel? - próbowała żartować.

- Jasne, ale masz przecież jeszcze jakieś nazwisko. Serena jak? Jeśli znowu znikniesz, jak wczoraj wieczorem, nie będę mógł nawet odnaleźć cię w książce telefonicznej!

Odchyliła się lekko i skrzyżowała ramiona.

- Na razie musi ci wystarczyć tylko Serena - upierała się lekkim tonem. - Przykro mi, ale możesz wiedzieć tylko tyle, ile konieczne.

- A jeśli naprawdę będę musiał wiedzieć więcej?

- O, do tego musiałbyś naprawdę mnie przekonać! - Zaśmiała się i pokręciła głową. - Zdradzenie nazwiska to już zbyt poważne zobowiązanie, a tego nie lubię. Ale nie martw się, jeśli będę pewna, że jakoś to zniesiesz, powiem ci.

Uśmiechnął się. Może miała rację. Ma przecież czas, może spokojnie siedzieć, patrzeć na nią i czekać, co przyniesie przyszłość. Podobał mu się jej styl i sposób bycia. Sprawiała, że nieustannie był lekko podekscytowany, a to dla niego niezwykle orzeźwiające doznanie.

Rozmowa z nią była lekka i przyjemna. Serena była zabawna i pełna wdzięku, a on odpowiadał w tak dowcipny sposób, że gdyby słyszał to ktokolwiek z jego współpracowników, niewątpliwie zdziwiłby się bardzo.

W połowie głównego dania uświadomił sobie, że od dłuższego czasu sam nie je, za to uporczywie wpatruje się w to, jak Serena pochłania swój stek. Nie mógł oderwać od niej oczu, jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś jadł tak zmysłowo.

Uniosła głowę i spojrzała na niego pytająco.

- Nigdy nie sądziłam, że ledwie dziesięć deko polędwicy wołowej może tak przykuć czyjąś uwagę.

Zaczerwienił się, przyłapany na tej niewinnej przyjemności. Powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy:

- Po prostu nigdy chyba nie widziałem, żeby ktoś delectował się tak każdym kęsem wołowiny. Wyglądałaś mi raczej na dziewczynę typu kiełki sojowe, tofu i liść sałaty na przekąskę.

Odłożyła sztucce i spojrzała na niego z krzywym uśmiechem.

- Zjadłam już tyle kiełków sojowych, że wystarczy mi na całe życie, wier mi. Jako dziecko nie dostawałam nic innego... - Przerwała na chwilę i potrząsnęła głową. - Zresztą nieważne. Powiedzmy, że w moim przypadku zamknięcie do białka zwierzęcego jest formą buntu nastolatki. W wieku



czternastu lat stałam się mięsożercą i od tego czasu nie trafiłam na kawałek krowy, który by mi nie smakował! - Z pasją wbiła widelec w następny kawałek.

- A ty nie zamierzasz dokończyć swojego mięsa?

Jadł niemal machinalnie, w dalszym ciągu nie mogąc oderwać od niej wzroku. Skończyła wreszcie swój stek, ale nie zanosił się na to, żeby miał się nudzić, bo sięgnęła po kartę deserów.

Rozważała właśnie, które lody wybrać, kiedy zadzwonił jej telefon.

- Och, przepraszam, zapomniałam go wyłączyć - zwróciła się do Jake'a. - Postaram się szybko skończyć.

- Tak? - rzuciła do słuchawki. - A, to ty... Jestem właśnie w trakcie... Co takiego? Daj telefon Benny'emu! Benny, zatrzymaj go tam! Tak... Nie martw się... Tylko nie pozwól mu się bić... Już jadę.

Przerwała rozmowę, westchnęła smutno i powiedziała:

- Przepraszam, ale muszę już iść. To nagły wypadek.

- Mogę jakoś ci pomóc?

- Nie, poradzę sobie. Muszę tylko jak najszybciej dotrzeć do Peckham i znaleźć pub „Pod Łabędziem”.

Nie miał pojęcia, co taka dziewczyna zamierzała robić w tamtej dzielnicy. Zanim jednak miał szansę o to spytać, podniosła się i powiedziała:

- Dziękuję za obiad. Naprawdę miło było spotkać cię znowu.

I zanim zdążył zaprotestować, pobiegła do drzwi.

Przywołał kelnera, sięgnął po kartę kredytową i szybko zapłacił. Wyszedł pospiesznie i niemal zderzył się z Sereną, która wciąż stała przy krawężniku i usiłowała zatrzymać jakąś taksówkę.

- Co tu jeszcze robisz?

- Nie widzisz, łapię taksówkę! Raz są ich całe stada, a kiedy potrzeba, nie ma ani jednej - irytowała się. - Muszę tam być najszybciej, jak to możliwe, inaczej będą kłopoty!

- Podwiozę cię - zaproponował. - Znam drogę, która omija wszystkie korki.

- Naprawdę mógłbyś? - spojrzała na niego błyszczącymi oczami. - Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne...

Te słowa prześladowały go przez całą drogę. Przeciskał się bocznymi uliczkami, a w głowie mimo woli ożywały wspomnienia. Nie był tu od lat i kiedyś obiecał sobie, że nigdy już nie wróci.

W co się teraz wpakował? Po tej dzielnicy można się było spodziewać wszystkiego. Ale nie, Serena nie wyglądała na kobietę uwikłaną w kłopoty. Brakowało jej pewnego rodzaju twardości, który rozpoznawał od pierwszego spojrzenia.

Ale pozory mogły mylić, pomyślał. Nauczył się tego od ojca - żywego dowodu na to, że nawet najpiękniejsze jabłko może być robaczywe. Rzucił krótkie spojrzenie na Serenę i pomyślał, że jest kompletnym idiotą. W zasadzie nie zna tej kobiety, nie wie nawet, jak ma na nazwisko. W co właściwie daje się wciągnąć?

Jednak jakoś jej ufał. Wierzył, że w cokolwiek była zamieszana, nie były to narkotyki ani pranie brudnych pieniędzy. Musiało jej bardzo zależeć na tym facecie - w jakiś sposób zakładał, że to facet - skoro tak bez wahania pospieszyła go ratować.

Kilka minut później byli już przed pubem, Właśnie szukali miejsca do parkowania, kiedy podjechała laweta i zatrzymała się obok nieprawidłowo zaparkowanego metalicznie niebieskiego porsche.

Do licha! Zupełnie zapomniał o tym kolesiu od sportowego samochodu. Okazuje się więc, że gnał jak głupi przez pół Londynu, żeby ratować z opałów jej chłopaka!

Tymczasem Serena wyskoczyła tak szybko, że nawet nie zdążył jeszcze odpiąć pasów. Ciekawe, dlaczego tak się spieszyła?

Czuł, że ogarnia go coraz większe napięcie i coś w rodzaju irytacji. Wysiadł z samochodu, poprawił krawat i powoli wszedł do baru. Uderzył go zapach dymu papierosowego i piwa.

Dopiero po chwili zauważył przewrócony stół i potłuczone szkło. Serena stała nad jakimś leżącym mężczyzną i jednocześnie prowadziła rozmowę z barczystym facetem w skórzanej kurtce.

- Co się stało, Benny? Jak tu wylądowaliście?

Chociaż Benny miał ze dwa metry wzrostu i z trudem mieścił się w drzwiach, po tych słowach spuścił oczy, zawstydzony jak młody chłopak.

- Mike powiedział, że chciałby odwiedzić kilka miejsc, w których grał, gdy zespół zaczynał - tłumaczył się smętnie. - Wydawało się, że to całkiem niezły pomysł.

Przewróciła oczami i westchnęła:

- Zawsze się tak wydaje... I co dokładnie stało się potem?

- Mike zaczął wspominać, stawiał wszystkim drinki, dobrze się bawiliśmy, ale nagle kilku nastolatków zaczęło pyskować. Wiesz, jaki jest Mike po kilku kieliszkach... Coś im powiedział, potem chciał odepchnąć jednego z nich, ale przy okazji potracił barmana z tacą i wszystko się potłukło - opowiadał Benny chaotycznie. - Ale nikomu nic się nie stało! - dodał pośpiesznie.

- Dobrze chociaż to - mruknęła do siebie. - Spróbuj go podnieść, a ja porozmawiam z właścicielem - zwróciła się do Benny'ego. - Musimy się stąd ulotnić, zanim zjawi się prasa.

Czy ona trochę nie przesadza? Bójka w podrzędnym barze nie była warta nawet wzmianki na ostatniej stronie.

Serena podeszła do baru, mógł więc przyjrzeć się właścicielowi sportowego porsche. I musiał przyznać, że dawno nic go tak nie zaskoczyło. Spodziewał się co najmniej amanta filmowego, a tymczasem zobaczył nieco zapuszczonego pięćdziesięciolatka z całkiem pokaźnym piwnym brzuchem. Co ona w nim widziała?

Zdziwiony zerknął w jej stronę. Rozmawiała właśnie z właścicielem lokalu i widać było, że stara się go ułagodzić. Rzuciła jeszcze w jego stronę kolejny olśniewający uśmiech i po chwili wróciła do nich.

- Mówi, że nie będzie nas skarżył. Obiecałam pokrycie wszelkich szkód i coś ekstra jako rekompensatę. Daj mi trochę gotówki, zanim się rozmyśli.

Benny sięgnął do kieszeni i podał jej kilka banknotów. Jake obserwował tę scenę i miał dziwne przeczucie, że nie pierwszy raz ratują Mike'a z podobnej sytuacji. Oboje działali niemal odruchowo, szybko i skutecznie. Ale musiał przyznać, że nawet teraz była cudowna.

- Wszystko w porządku, kolego? - odezwał się nieoczekiwanie Mike i najwyraźniej to pytanie było skierowane do niego.

Jake chciał go zignorować, ale nie było to proste. Mike miał ochotę na pogawędkę i absolutnie nie zamierzał z niej zrezygnować.

- Wspaniała dziewczyna, prawda? - Kiwnął głową w stronę Sereny.

Miał ochotę udusić tego faceta, ale na szczęście jakoś się powstrzymał.

- Tak - przyznał z zaciśniętym gardłem. - Ma pan szczęście.

- Wiem - przytaknął Mike. - To najlepsza córka na świecie.

Córka...? Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Uśmiechnął się do Mike'a tak wylewnie, że nawet Benny spojrzał na niego zaskoczony. Mike, poza tym, że wyglądał trochę niechlujnie, wydawał się sympatyczny. Przypominał mu kogoś... Zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie kogo, ale żadne nazwisko nie przychodziło mu do głowy.

Wyszli szybko z baru. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, przed ich nosem przejechała laweta ze sportowym porsche. Cała czwórka wpatrywała się, jak znikająca za zakrętem.

- No i to by było na tyle, jeśli chodzi o szybkie zniknięcie - stwierdziła ponuro Serena.

- Nie ma sprawy, podwożę was - zaproponował odczo. Spojrzała na niego tak, jakby dopiero w tej chwili przypomniaws sobie o jego istnieniu.

No, no, to żeby nie przewróciło ci się w głowie, stary, pomyślał z ironią. Niezły cios dla jego dumy - jeszcze godzinę temu był miłym towarzyszem podczas eleganckiego posiłku, a teraz został zdegradowany do roli szofera. I to na własną prośbę.

- Chodź - ponaglił ją. - Powinniśmy zabrać stąd twojego ojca jak najszybciej

- Więc już wiesz, że to mój ojciec - westchnęła, przymykając oczy. - Cudownie!

Nie rozumiał, czemu tak ją to wytrąciło z równowagi, ale nie było teraz czasu na rozważania.

- Chyba rzeczywiście nie mamy innego wyjścia - mruknęła. - Jedźmy więc, zanim ktoś nas tu zauważy.

Benny wcisnął jakoś Mike'a na tylne siedzenie, a sam usiadł obok i pilnował, żeby bezwładne ciało nie ześlizgnęło się na podłogę.

W drodze powrotnej nikt się nie odzywał. Jake włączył radio, żeby choć trochę zagłuszyć pochrapywanie Mike'a. Ustawił stację grającą starego dobrego rocka i wewnątrz samochodu wypełniła rytmiczna muzyka.

Już pierwsze akordy przypomniały mu czasy, kiedy szaleli z kolegami na rowerach wokół boiska. Potem bramki zostały zdemontowane, a po okolicy zaczęły się poniewierać zużyte strzykawki.

Nagle jego uszu dobiegły dźwięki mistrzowsko zagranej solówki na gitarze i w jego głowie zaskoczył jakiś trybik. Już wiedział, kogo przypominał mu ojciec Sereny. Wyglądał dokładnie jak Michael Dove, gitarzysta zespołu Phoenix! Dyskretnie zerknął w lusterko. Podobieństwo było wprost uderzające. Zamiast włóczyć się po podrzędnych barach, ten gość mógłby dorabiać w konkursie sobowtórów. Te same usta, oczy, nawet ta sama blizna na czole...

- Ty jesteś Michael Dove! - zawołał poruszony. Spojrzał na Serenę i dodał odkrywczo: - A ty jesteś córką Michaela Dove'a!

Odwróciła twarz w jego stronę i rzuciła sarkastycznie:

- Wiem. Może cię to zdziwi, ale byłam nią przez całe życie.

No, wspaniale, myślała zrezygnowana. Wiedziała, co teraz nastąpi. Jej znajomi różnie reagowali na wiadomość, że jej ojciec jest legendą rocka. Zwłaszcza faceci. Jedni udawali, że wcale ich to nie interesuje, inni usiłowali jakoś wykorzystać znajomość z córką słynnego tatusia.

Spojrzała na Jake'a. Był całkiem spokojny, nie potrafiła przewidzieć, do której grupy go zaliczyć.

- Hm... - mruknął. - Wydawało mi się, że córka Dove'a miała jakieś szalone imię... Coś jak Gwiazdny Pył czy Promień Księżycyca.

Z tylnego siedzenia dobiegł głośny jęk.

- Moja córeczka promieniem księżycyca... Nigdy!

- Tato, przestań! - Usłyszała w głosie ojca zaczepny ton i próbowała go uspokoić.

- Ale ten sztywniak uważa, że twoje imię jest śmieszne! Jake potrząsnął głową.

- Skąd! Nie ma nic śmiesznego w imieniu Serena. Mówię tylko...

- A kto to jest Serena? - mruknął Mike.

Westchnęła głucho. Znała swojego ojca. Na pewno nie było z nim tak źle, żeby nie miał siły opowiedzieć czegoś, co wprawi ją w zakłopotanie. Obiecała sobie, że jak tylko dotrą do domu, wyciągnie wszystkie butelki z alkoholem i wyleje ich zawartość do zlewu. Łącznie z tą w futerale na gitarę, o której myślał, że jest świetnie ukryta.

- Tak... - ożywił się znowu Mike. - To Elaine tak ją nazwała. Była przerażona, bo myślała, że nie możemy mieć dzieci. Więc kiedy szczęście się do nas wreszcie uśmiechnęło...

Wiedziała, co teraz nastąpi. Gdyby Jake jechał wolniej, wyskoczyłaby chyba w biegu.

- Wiesz, co znaczy Serendipity? - ciągnął jej ojciec. - Elaine wynalazła to imię i od razu wiedzieliśmy, że będzie doskonale pasowało do naszej małej dziewczynki. Serendipity - odkryta przez przypadek...

Jake zakaszłał podejrzenie.

- Jak proszę?

- Słyszałeś - ucieła.

Kiedy odezwał się po chwili, miała wrażenie, że jego głos pobrzmiwa tłumionym śmiechem.

- Cóż, wygląda na to, że dość oszczędnie używa pani swego imienia, panno Dove.

- Podobnie jak ty, Charles - podkreśliła ostatnie słowo. Zaśmiał się.

- Doskonale cię rozumiem. Skoro oboje wiemy już, jak wygląda rzeczywistość, proponuję, żebyśmy starali się o niej zapomnieć i nie wracali więcej do sprawy.

- Zgoda!

Odwróciła się, żeby spojrzeć na ojca. Spał oparty o Benny'ego i wyglądał tak bezbrinnie, że niemal dała się nabrać. Owszem, wprowadzał nieustannie zamęt w jej życie, ale trudno było się na niego gniewać.

Przymknęła oczy i rozsiadła się wygodnie na miękkim fotelu. Samochód kołysał ją miarowo, pozwoliła sobie na chwilę relaksu, zanim dojadą do domu i znowu będzie musiała wziąć stery w swoje ręce.

Po kilkunastu minutach byli na miejscu. Jake pomógł Benny'emu przetransportować Mike'a do sypialni, a potem pożegnał się i odjechał.

Zaparzyła swoją ulubioną herbatę, usiadła przy stole kuchennym i grzejąc wielki kubek w obu dłoniach, zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś zobaczy Jake'a.

Była raczej pewna, że nie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wpatrywała się w wolno przepływające chmury na niebie i próbowała zignorować fakt, że za chwilę przymarznie do ławki. Choć z tego miejsca mieli piękny widok na miasto, na zboczu wzgórza wiało bardziej przenikliwie niż gdzie indziej.

- Pięknie tutaj - odezwała się cicho.

Jake uśmiechnął się, wyjął z koszyka piknikowego talerz z ciasteczkami i podał jej.

- Często tu przychodziłem, gdy byłem młody.

- Mieszkałeś gdzieś w pobliżu?

- Tak, niedaleko... - mruknął wymijająco.

Usiłowała wyobrazić sobie jego dom. Pewnie mieszkał w jakiejś ekskluzywnej dzielnicy w południowej części miasta. Miał uporządkowane życie, posiłki o stałej porze i szaro-granatowy mundurek z herbem szkoły.

- Tak właściwie, to nawet widać stąd... - odezwał się po chwili.

Spojrzała we wskazanym kierunku, ale nie wiedziała, co chce jej pokazać.

- Widzisz te trzy bloki?

- Tak. To gdzieś za nimi?

- Nie, w nich. Ostatni na prawo, czternaste piętro. Stamtąd park wygląda jak wąska wstążka zieleni wśród betonu miasta.

Roześmiała się głośno.

- Brzmi niezwykle poetycko.

- Cicho, sza! - Przyłożył palec do ust i spojrzał na nią błagalnie. - Nie zdradz tego, bo zburzysz mój wizerunek twardego biznesmena.

- Więc nie miałeś ogródka przy domu? - Zdziwiła się.

Przez chwilę nie odpowiadał, wpatrzony w deseń koca piknikowego.

- Musimy o tym rozmawiać? Jest tyle ciekawszych tematów...



- Chcę wiedzieć o tobie coś więcej - przekonywała. - To nie fair. Przez ojca nasze życie było zupełnie odarte z tajemnic. Pewnie gdybyś wpisał moje imię w wyszukiwarkę internetową, dowiedziałbyś się, co jadłam na śniadanie.

- Znam lepsze sposoby, żeby się dowiedzieć, co lubisz jadać na śniadanie - mruknął kuszącym głosem.

Zaśmiała się.

- Niezła próba, ale nie dam się na to nabrać. Naprawdę chciałabym dowiedzieć się o tobie czegoś więcej i nie uda ci się zmienić tematu. Nie stosuj tanich chwytów.

- Nie miałem pojęcia, że są tanie - jęknął rozczarowany. Po chwili dodał poważniej: - Wiesz... Zwykle unikam mówienia o swojej młodości. Niektórzy z moich klientów mogliby uciec w popłochu, gdyby dowiedzieli się, że pieczę nad ich milionami sprawuje były chuligan.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Prawie dwa metry nieskazitelnej elegancji - od kaszmirowego płaszcza po ręcznie szyte buty. Nie podejrzewała, że ktokolwiek mógłby uciekać od niego w popłochu.

- W naszej okolicy prawie nie było zieleni, więc przybiegałem tutaj - odezwał się półgłosem, wpatrując się w wysoki blok na horyzoncie. - Patrzyłem wtedy na miasto pogrążone w swoim życiu, pełnym wielkich interesów i nieograniczonych perspektyw i obiecywałem sobie, że kiedyś wyrwę się z tej dzielnicy i stanę się częścią tamtego, lepszego życia.

- I dlatego zostałeś księgowym? - uśmiechnęła się leniwie.

- Ha, ha, ha - wyskandował ze zde gustowaną miną. - Słyszałem milion razy dowcipy o banalnym, nudnym życiu księgowego, w którym jedyną atrakcją jest zmiana stóp procentowych. Początkowo zresztą wcale nie chciałem zostać księgowym, zależało mi na praktyce w dużych firmach. Ale kiedy skończyłem studia, dostałem pracę w jednej z dużych firm księgowych i tak się zaczęło. Szybko okazało się, że znalazłem niszę rynkową, poszedłem więc tą ścieżką,

zdobywałem niezbędne kwalifikacje, a kiedy wiedziałem już, jak to robić, założyłem własną firmę.

- Musiałeś naprawdę ciężko pracować, żeby osiągnąć to wszystko...

- Chciałem wyciągnąć stamtąd mamę. Nie zasłużyła na taki los. A jak było u ciebie? - Sięgnął po dorodną kiść winogron. - Do jakiej szkoły chodziłaś?

- Do jedenastego roku życia uczyła mnie mama. W sposób bardzo niekonwencjonalny, mówiąc łagodnie. Wiedziała całkiem sporo o drzewach, kamieniach szlachetnych i gwiazdach, ale za to nie miałam nawet pojęcia o istnieniu nauk ścisłych. - Zrobiła zabawną minę i dodała: - Za to byłam doskonała w pantomimie i tańcu brzucha.

- Hm... - mruknął z uznaniem i dodał szybko: - A co było potem?

- Potem mama zachorowała i musiałam iść do szkoły z internatem. Ojciec posłał mnie do jednej z tych postępowych szkół, gdzie pozwalają nosić modne ciuchy, masz zajęcia z psychologiem i intensywnie szukasz własnej drogi rozwoju. To było szalone miejsce, kompletny dom wariatów. Nie pasowałam tam. Dołączyłam do klasy w ciągu roku szkolnego, wszyscy szybko zorientowali się, kim jestem, i zaczęli mi dokuczać. A ponieważ nauczyciele programowo nie zamierzali tłumić złych emocji, byłam łatwym celem.

- Och! - mruknął ze współczuciem.

- Jakoś dotrwałam do końca, a potem szybko uciekłam do ojca. Właśnie wracał do siebie po leczeniu odwykowym. Pewnie słyszałeś, że był uzależniony od narkotyków, wszyscy to wiedzą. Przez kilka lat po tym, jak mama umarła na raka, żył szybko i ostro. Potrzebował mnie w domu równie mocno, jak ja potrzebowałam jego.

- Ale zaczęłaś jakąś samodzielną pracę...? Fuknęła lekko.

- Opieka nad moim ojcem to praca na pełny etat, uwierz mi. Przez ostatnie pięć lat byłam jego menadżerem, asystentką, niańką, kierowcą i czym jeszcze się dało.

Spojrzał na nią nieco zaskoczony, ale nie ciągnął tematu.

- Jakie masz marzenia? Podróże? Upiła niewielki łyk i potrząsnęła głową.

- Nie, w ostatnich latach i tak ciągle żyliśmy na walizkach. Szczerze mówiąc, coś całkiem innego....

- Wiem, chcesz uciec z domu z wędrownym cyrkiem!

Zaśmiała się, ale nie dopowiedziała. Nie zamierzała zdradzać swoich najtajniejszych pragnień. Tak naprawdę jej marzenia były całkiem banalne - chciała mieć kochającego męża, szczęśliwy dom i dzieci. Jednak takie wyznanie zwykle działało na facetów jak sygnał do odwrotu.

Jake od początku bardzo jej się spodobał. Był przystojny, miły, inteligentny, miał stabilną pracę i osiągnął na tyle znaczący sukces zawodowy, by nie interesować się pieniędzmi jej ojca. Nie chciała zdradzać mu swoich planów, a potem patrzeć, jak spłoszony znika w chmurze pyłu.

Podobało jej się, że wkładał tyle serca we wszystko, co robił. Wystarczyło spojrzeć na ten koszyk, wypełniony smakołykami z najlepszych delikatesów. Doceniała jego starania, ale tak naprawdę tęskniła do niewyszukanego jedzenia i dzieci biegających z umorusaną dżemem buzią i plamami od trawy na spodniach.

Wkrótce koszyk był pusty. Jake podniósł się i podał jej rękę. Spakowali wszystko i ruszyli w dół. Przy pierwszej okazji znowu chwycił jej dłoń i już nie puścił.

Zaraz za Obserwatorium Królewskim stanęli przy miedzianym pasku połyskującym na asfalcie - symbolizował południk, przecinający glob właśnie w tym miejscu.

Jake wpatrywał się przez chwilę w błyszczącą kreskę, po czym podniósł wzrok i popatrzył Serenie głęboko w oczy.

- Szerokość geograficzna zero - powiedział cicho. - Miejsce, gdzie wszystko się zaczyna...

Drżała, pełna napięcia, nie mogła się skupić nawet na tyle, żeby zastanowić się, co właściwie chciał przez to powiedzieć.

- To trochę surrealistyczne, nie uważasz? - spytała, próbując uśmiechem pokryć niepewność. - Stoimy tak blisko siebie, ale na różnych półkulach.

- Widocznie nie jesteśmy dostatecznie blisko siebie. Możemy być bliżej - powiedział i natychmiast jej to udowodnił.

Czuła we włosach jego oddech, ciepło jego ciała przenikało przez jej cienki płaszczyk. Gdyby tylko uniosła nieco głowę, jego usta byłyby dostatecznie blisko...

Gorący rumieniec wypłynął jej na policzki. Nie wiedziała, dlaczego zachowuje się jak nastolatka. Myślała, że życie w środowisku pełnym artystów, hippisów i wolnych duchów powinno ją wyleczyć z pensjonarskiej niepewności. Jednak nikt dotąd tak na nią nie działał. Chociaż Jake ledwie jej dotykał, cała drżała.

- Ciągłe czujesz się tak dziwnie? - wyszeptał w jej włosy.

- Coraz dziwniej - odszepnęła. I uniosła wzrok. A wtedy zobaczyła w jego oczach coś, co z całą pewnością wolałby ukryć, żeby nie psuć swojego wizerunku. Dostrzegła wrażliwego człowieka o czułym sercu.

Ciepły oddech ogrzewał jej policzek.

- Jeszcze kilka milimetrów i naprawdę możemy sprawić, że świat zawiruje...

W tym pocałunku było wszystko - słodycz, miękkość i czar obietnic. Przytuliła się do niego mocno i zanurzyła palce w jego gęstych włosach.

Dłonie Jake'a czule wędrowały po jej policzkach. Nikt nigdy nie całował jej w ten sposób. Jego pocałunki przenikały do jej duszy i sprawiały, że całe ciało płonęło.

Jeśli o nią chodzi, odsunął się zbyt szybko. Poprowadził ją ścieżką do samochodu i odwiózł do domu. Jedyne, na czym mogła się skupić przez resztę popołudnia, to rozważanie, czy długo będzie musiała czekać na następny pocałunek.

Policzyła w duchu do dziesięciu i obiecała sobie, że nie rozerwie Cass, nawet jeśli ta zada jeszcze jedno bezczelne pytanie.

- Chcę znać wszystkie pikantne szczegóły! - oświadczyła przyjaciółka tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. W moim życiu nie ma pikantnych szczegółów. Może kiedyś, ale to już przeszłość. Wyewoluowałam!

Cassie roześmiała się ubawiona.

- No, dalej, lalka, dawaj! Jak było z gorącym księgowym?

- Wiesz, Cassie, jako żona pastora nie powinnaś używać takich słów - pouczyła ją pełnym wyższości tonem. Ale nie mogła się przy tym nie uśmiechnąć. Jej przyjaciółka była najbardziej niekonwencjonalną żoną pastora w tym kraju. Krótko obcięte, różowe włosy sterczały jej na wszystkie strony, miała po cztery kolczyki w każdym uchu i jeden w nosie.

- Inspiracją dla mojego słownika są spotkania grupy młodzieżowej, którą prowadzę - wyjaśniła niezrażona. - Nie zagaduj mnie, tylko opowiadaj. Wszelki opór jest bezcelowy, powinnaś o tym wiedzieć.

- Nigdy się nie zmienisz, prawda? - zaśmiała się pokonana.

- Nie, jestem taka, od kiedy tańczyłam w sypialni w internacie i w kącie natknęłam się na dziewczynę piszącą żalosne wiersze, których nie chciała nikomu przeczytać.

Serena westchnęła w udawanym oburzeniu.

- Tylko nie żalosne! Może nieco płaczliwe i wydumane, ale nie żalosne!

- W każdym razie zaprzyjaźniłam się z tą smętną poetką i znoszę ją do dziś.

- A potem poznałaś Steve'a i poszłam w odstawkę! - przypomniała z żartobliwym wyrzutem. - Wspaniałomyślnie ci wybaczyłam. Ten chłopak był taki słodki, że nie można było puścić go wolno!

Cassie pokiwała głową i wzniosła oczy z zabawną miną.

- Za to moi rodzice długo nie mogli mi wybaczyć. Jakbym ciągle słyszała mojego ojca: Cassandro, masz tylko dziewiętnaście lat! - Zniżyła głos o kilka tonów i ciągnęła ponuro: - Jesteś stanowczo zbyt młoda, żeby zrozumieć, czym jest trwały związek!

Obie wybuchnęły śmiechem na samo wspomnienie burzy, jaka rozegrała się wtedy w domu Cassie.

- Jesteś nieznośna, Cassie Marton!

- I za to mnie kochasz!

- Kocham cię, bo jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego mogłam mieć. - Przestała się śmiać i dokończyła poważnie: - Naprawdę mnie uratowałeś. Bez ciebie ta szkoła byłaby prawdziwym piekłem. Jestem twoją dozgonną dłużniczką.

Oczy Cassie rozbliły filuternie.

- I nawet wiem, jak mi odpłacisz...

Serena roześmiała się i skapitulowała.

- Zgoda. Daj mi jeszcze trochę ciasta, a powiem ci wszystko.

Wyciągnęła talerzyk, dostała gruby kawałek ciasta marchewkowego i przez chwilę skubała je w milczeniu. Nie miała pojęcia, od czego zacząć. Nadal nie chciała z nikim dzielić się swoimi uczuciami. Były zbyt świeże i cenne, by o nich opowiadać, nawet najbliższej przyjaciółce. Wiedziała jednak, że musi powiedzieć cokolwiek, zanim Cassie zacznie jej wyłamywać palce i zrywać paznokcie.

- Jest bliski mojego ideału. Byliśmy razem na kolacji, na pikniku i balecie. Czuję się jak księżniczka, bo dotąd myślałam, że randka polega na siedzeniu w zadymionym barze i wpatrywaniu się w stół bilardowy, przy którym twój facet wykonuje jakieś nieporadne ruchy... - Ciągle wpatrywała się w ciasto i spytała cicho: - Czy tak właśnie zaczyna się miłość?

- To zależy. A co czujesz? Westchnęła ciężko.

- Sama nie wiem. Myślę tylko o nim. Kiedy go nie ma, przechodzą mnie dreszcze na samą myśl o spotkaniu, a gdy jesteśmy razem, mam dreszcze, bo jest obok. Czuję się przy nim wyjątkowo. Po raz pierwszy jakiś facet lubi mnie, a nie córkę Michaela Dove'a...

Cassie odstawiła kawę, przechyliła głowę i spojrzała na Serenę z uśmiechem.

- Więc jesteś...

- Jestem co?

- Wiesz przecież.

Spojrzała na przyjaciółkę niepewnie. Problem polegał właśnie na tym, że nie bardzo wiedziała, jak nazwać swoje uczucia.

Już trzeci raz poprawiał obrazek wiszący na ścianie i wciąż nie był zadowolony. Do licha, teraz było nawet gorzej niż poprzednio.

Nie czepiał się, chciał tylko, żeby wszystko było perfekcyjnie. Zaprosił dziś Serenę do domu, przygotowywał dla niej kolację i drażnił go każdy niedopracowany szczegół. Taki jak krzywo wiszący obrazek we wnęce obok szafy.

Teraz, kiedy wreszcie mógł sobie na to pozwolić, lubił zapraszać kobiety do najlepszych lokali. Starał się adorować je z klasą i wdziękiem, nawet jeśli zakładał, że związek nie przetrwa dłużej niż kilka tygodni. Może to było nieco próżne, ale lubił myśleć, że chociaż kilka jego byłych dziewczyn wspomina go z miłym westchnieniem.

Znowu spojrzał krytycznie na obrazek, ale jakoś powstrzymał się, żeby go poprawić. Co się z nim działo? Zwykle nie był taki nerwowy przed randką. Pewnie to dlatego, że Serena była zupełnie inna niż kobiety, z którymi się dotąd spotykał.

Odkąd skończył trzynaście lat, zawsze oglądał się za chłodnymi, wyrafinowanymi, pełnymi wyższości dziewczynami. Mijał na ulicach schludnie

ubrane uczennice elitarnych szkół dla dziewcząt i wyobrażał sobie, jak pięknie musiały pachnieć. I wtedy właśnie postanowił sobie, że kiedyś zaspokoi swoją ciekawość. Co prawda mijając go, zadzierały nosa, ale to tylko dodatkowo pobudzało jego pragnienia.

Niedługo potem nadszedł czas, kiedy zamiast zadzierać nosa, zaczęły go lustrować spod opuszczonych rzęs. Zaczęły się z nim umawiać, kiedy kupił sobie pierwszego roleksa. Poza Chantelle, rzecz jasna. Ona była wyjątkiem, a zarazem jego największą pomyłką.

Spojrzał na zegarek. Na kopercie było już kilka rys, ale nigdy go nie zmienił. Wciąż pamiętał, jak długo odkładał na niego każdy grosz. Ten zegarek to był ważny symbol. Oznaczał: dokonałem tego!

Wkrótce potem wynajął pierwsze niewielkie mieszkanie i rozpoczął długotrwały proces wymazywania swojej przeszłości. Od wymiany tanich ubrań na elegancką odzież po wyeliminowanie ze słownika naleciałości slangu i nieprawidłowego akcentu. Teraz nikt by się nie domyślił, jaka była jego droga. Żaden z jego bogatych klientów nie podejrzewał nawet, że ich funduszami zarządza syn drobnego przestępcy.

Jedyną osobą, którą dopuścił do niewielkiego fragmentu swoich wspomnień, była Serena. Sam się dziwił, że powiedział jej tak dużo. Zgoda, pomiął kilka istotnych szczegółów, ale i tak zdradził jej więcej niż innym.

Nie miał pojęcia, co go do tego skłoniło. Może to, że nie zwracała żadnej uwagi na jego pieniądze, co wprawdzie początkowo nieco drażniło jego próżność, ale teraz myślał o tym z ulgą. Dość miał już kobiet, które patrzyły na niego jak na obiecującego kandydata.

Ale był jeszcze inny powód. Choć oboje tak bardzo się różnili, było coś, co ich łączyło. Oboje wiedzieli, jak to jest być wykluczonym ze społeczeństwa.

Przeszedł do kuchni, żeby zajrzeć do piekarnika i po drodze, przez uchylone drzwi, zerknął do sypialni. Pobudzona wyobraźnia podsunęła mu obrazy, od których krew zawrzała w jego żyłach. Płatanina ciał, jej włosy



rozsypane na poduszce, pierwsze promienie słońca przedzierające się przez zasłony i oświetlające jej zmysłowe kształty...

Zdecydowanym ruchem złapał klamkę i zamknął drzwi. Powinien się opanować. Obiecał sobie przecież, że nie tak będzie ją zdobywał.

Adorował Serenę powoli, bez nerwowego napięcia, w nieco staroświeckim stylu. Jakby oboje grali w ekscytującą grę. Krążyli wokół siebie, odwlekając nieuniknione, i zataczali coraz ciaśniejsze kręgi. Ale oboje wiedzieli, że wcześniej czy później i tak wszystko prowadzi do eksplozji zmysłów.

Jednak do tego czasu musi trzymać się w ryzach. W końcu nie powinno to stanowić żadnego problemu, nauczył się przecież doskonale kontrolować swoje emocje. Zdarzało się już nieraz, że kobiety usiłowały nim sterować, ale to on zawsze decydował o przebiegu związku, a zwłaszcza o jego zakończeniu. I następowało to zwykle wtedy, kiedy w jej oczach widział pierwsze błyski ślubnych obrączek. Nie nadawał się do tego i dobrze o tym wiedział.

Na szczęście z Sereną nie będzie takiego problemu. Wychowywała się przecież w środowisku, gdzie trwałość związków nie była najwyższą cenioną wartością. Dzieci-kwiaty miały inne pragnienia niż życiowa stabilizacja. Sama zresztą powiedziała, że nie lubi się wiązać. Mogli po prostu poznawać się coraz lepiej i spokojnie patrzeć, dokąd ich to zaprowadzi. I to właśnie tak bardzo mu się podobało. Mógł być sobą, nie musiał niczego udawać.

Zajrzał do piekarnika, przykręcił gaz i sięgał właśnie po korkociąg, żeby otworzyć wino, kiedy zadzwonił telefon.

O, nie! Niech tylko nie odwołuje spotkania!

- Cześć, braciszku! - usłyszał w słuchawce. Wyczuł napięcie w jej głosie, więc spytał:

- Co się dzieje, Mel?

Słyszał, że westchnęła głęboko kilka razy, zanim odpowiedziała:

- Chodzi o ojca. Widziano go ostatnio kilka razy.

- Na Costa Bianca?

- Nie, nie w Hiszpanii. Jest tutaj.

Machinalnie przeszedł przez kuchnię i otworzył lodówkę. Poczłł chłodne powietrze, ale nie wiedział, co chciał z niej wyjąć.

- Mel, mówiłem już, że nie interesuje mnie, co ten człowiek robi, byle nie zbliżał się do mnie.

- Minęło już dziesięć lat... - rzuciła cicho. - Nie jesteś ciekawy...?

- Nie - odparł twardo. - I nic tego nie zmieni. Nie zamierzam się z nim spotykać. A ty?

Cisza.

- Słuchaj, Mel, byłaś jeszcze dzieckiem, kiedy odszedł, i wielu rzeczy nie pamiętasz. Dlatego możesz się łudzić, że się zmienił. Ale to nierealne, zapewniam cię. Pamiętaj, to taki typ, który jedną ręką cię obejmuje, a drugą opróżnia ci kieszeń.

Zaczęła płakać. Wiedział, że to, co powiedział, było okrutne, ale musiał być twardy. Jeśli chciał uchronić ją od bólu, nie mógł postępować inaczej.

- Przepraszam, siostrzyczko - dodał cieplejszym głosem. - Przykro mi, ale tak to właśnie wygląda.

- Wiem przecież - odparła, pociągając nosem. - Ale tak bardzo chciałabym, żeby było inaczej. Pomyślałam po prostu, że powinnam cię ostrzec, to wszystko.

- Dziękuję. I cieszę się, że zadzwoniłaś. Zobaczymy się w niedzielę, zgoda? Nie płacz po nim, Mel, nie jest tego wart.

- Spróbuję. Do usłyszenia, Jake.

Usłyszał, jak odkładała słuchawkę, i z trudem opanował chęć, żeby cisnąć telefonem o podłogę.

Czy ten facet nie wyrządził już w przeszłości dość krzywd? Dlaczego nie mógł po prostu zniknąć?

Jego pojawienie się może oznaczać tylko jedno: kłopoty.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wkręcał właśnie korkociąg, kiedy usłyszał dźwięk domofonu. Z butelką wina w ręku podszedł do drzwi i spojrzał na ekran zamontowanej przy wejściu kamery. Zobaczył ciemne włosy upięte spinkami w jakąś nową fryzurę. Serena właśnie ją poprawiała, ale nagle odwróciła głowę i spojrzała prosto w obiektyw.

Aż odchylił się do tyłu, jak uczeń przyłapany na podglądaniu. Szybko nacisnął guzik i trzymał go jeszcze długo po tym, kiedy już weszła zapewne do windy.

Otworzył drzwi do mieszkania i czekał z bijącym sercem. Spokój, tylko spokój, powtarzał sobie.

- Przychodzisz w samą porę - powiedział, wyciągając do niej kieliszek z winem.

Wzięła kieliszek i uśmiechnęła się do niego czarująco.

- To lubię. - Upiła łyk wina. - Mężczyzna, który wie, czego potrzebuję, nawet zanim o to poproszę. - Pokiwała lekko kieliszkiem i dodała: - Chociaż zgodnie z zasadami to powinno być martini, a ty powinieneś mieć na sobie jakiś fikuśny biały fartuszek.

To właśnie w niej lubił. Potrafiła zachować dystans i rozbawić go w każdej sytuacji.

Przyciągnął ją delikatnie i pocałował w czoło.

- Uhm... - Pociągnęła nosem z wyraźną przyjemnością. - Pięknie pachnie. Gdzie to wszystko zamówiłeś?

- U Jake'a, znasz ten lokal?

- Na to mnie nie nabierzesz. - Pogroziła mu palcem. - To punkt piąty w podręczniku „Jak zrobić wrażenie na kobiecie”. Zamawia się kolację w dobrym lokalu i podaje jako własną. Gdzieś tu pewnie jeszcze leżą pojemniki z restauracji...

Rozejrzała się po wnętrzu, ale nie dostrzegła nic podejrzanego. Zerknęła na niego raz jeszcze i powoli zaczęła unosić brwi ze zdziwienia.

- Naprawdę? - spytała z niedowierzaniem. - Naprawdę sam to ugotowałeś? Jestem pod wrażeniem!

- Jeszcze nawet nie spróbowałaś - zauważył.

- Ale naprawdę sam przygotowałeś dla mnie to wszystko? Och...

- Tak.

W jej oczach pojawiła się tkliwość. Szybko schyliła głowę i upiła łyk wina, żeby to ukryć.

- Mogłabyś zanieść wino i kieliszki do jadalni? - spytał, mieszając sos.

Sięgnęła po butelkę i już wychodziła z kuchni, ale nagle zawróciła, podeszła do niego i leciutko pocałowała go w policzek.

- Dziękuję, Jake.

Z wrażenia aż przestał mieszać i zeszywniał. Dziękuję? Za co? To tylko kolacja.

Postawiła kieliszki na stole, poprawiła delikatną porcelaną i srebrne sztuce. Długie świece ciepłym blaskiem rozjaśniały kompozycję kwiatową. Spojrzała na stół i ze wzruszenia niemal zaschło jej w gardle. Nikt nigdy tak o nią nie dbał. Jake musiał włożyć wiele wysiłku w przygotowanie tego wszystkiego. Dlaczego to zrobił? Dlaczego tak bardzo mu zależało?

Od tych myśli jej serce przyspieszyło gwałtownie.

- Usiądź, proszę - zawołał z kuchni. - Zaraz będę. Usiadła grzecznie i wpatrywała się w herbaciane róże.

Były wspaniałe, właśnie rozkwitły, rozsiewały wokół cudowny zapach i kusiły obietnicami.

Usłyszała brzęk talerzy i zobaczyła, że Jake wchodzi do jadalni. Chciała powiedzieć coś miłego o wystroju i jego staraniach, ale na jego widok wybuchnęła śmiechem. Miał na sobie najbardziej kwiecisty fartuch, jaki

kiedykolwiek widziała. Jaskrawoniebieskie kwiatki przeplatały się z jakimiś pomarańczowymi pnączami i całość wyglądała jak dzieło szalonego stylisty.

Jake ustawiał naczynia na stole, a ona ocierała łzy rozbawienia.

- Gdzie to wynalazłeś?

- Uważasz, że nie pasuje?

- Przeciwnie, pasuje tak doskonale, że powinieneś wychodzić w tym do miasta! - chichotała.

- Może w następny czwartek? Akurat na twoją kolację urodzinową.

Zamarła zaskoczona.

- Skąd wiesz, że w przyszłym tygodniu są moje urodziny?

- Powiedziało mi to małe, bardzo przydatne urządzenie - wyszukiwarka internetowa - uśmiechnął się.

A więc grzebał w internecie, żeby znaleźć informacje na jej temat. Na każdego innego faceta byłaby wściekła, ale na niego nie mogła się złościć. Zresztą byłaby to hipokryzja, bo przecież sama stale przeglądała stronę internetową jego firmy.

- Ani grama tofu - uśmiechnął się, nakładając jej duży stek. - Pamiętam, jak bardzo twój organizm potrzebuje białka zwierzęcego!

Kolacja była fantastyczna. Serena przełknęła ostatni kęs i wygodnie oparła się na krześle.

- To było wspaniałe - powiedziała z uznaniem. - Jeśli chcesz, możesz już zdjąć fartuszek.

Szybko zerknął w dół.

- Zupełnie o nim zapomniałem - zaśmiał się.

- A tak nawiasem mówiąc, skąd go masz? - spytała ostrożnie. - Zacznę się niepokoić, jeśli się okaże, że masz w szafie dużo takich ciuszków...

- Nie obawiaj się. Wyjąłem go z szafki pani, która u mnie sprząta - wyjaśnił. - Masz ochotę na kawę?

- Poproszę.

Zajęła się zbieraniem talerzy i przeszła za nim do kuchni. Odebrał od niej talerze i podał niewielką filiżankę z aromatycznym espresso.

- Chodź, wypijemy kawę w salonie.

Przeszli przez jadalnię do elegancko urządzonego pokoju. Jake podszedł do okna i odsłonił rolety.

- Och, masz balkon! - zawołała. - Zawsze chciałam mieć balkon na tej wysokości. Mogę popatrzeć?

Pchnęła przeszklone drzwi i wyszła na wąski balkon otoczony balustradą z kutego żelaza. Rozejrzała się dookoła i wciągnęła głęboki haust świeżego powietrza. Mogłaby tu siedzieć godzinami, słuchając szumu wiatru wśród drzew.

Poczuła z tyłu jakieś ciepło, a chwilę potem silne ramiona Jake'a otoczyły ją ciasno.

- Na twoim miejscu spędzałabym tu każdą wolną chwilę. Wszystko stąd wygląda tak magicznie! Zwłaszcza teraz, kiedy ludzie zaczynają wieszać ozdoby świąteczne.

- Jest dopiero początek grudnia - westchnął. - Zawsze mnie drażniło, że tak wcześnie zaczyna się ten szal świąteczny. To tylko rozpasany marketing, a nie...

- Och, przestań - jęknęła. - Nic nie jest w stanie zniszczyć mojego uczucia do choinek, jemioly i całej tej świątecznej atmosfery. Lepiej się już zamknij i pocałuj mnie.

Przez kilka następnych chwil nie istniało nic więcej tylko jego usta i ich cudowna pieśczość. Nawet teraz, po kilku tygodniach znajomości, pocałunki Jake'a nadal wprawiały jej ciało w stan najwyższego napięcia. Nie miała pojęcia, jak on to robił, ale każdy następny wydawał się jeszcze słodszy od poprzedniego.

Z trudem oderwała się od jego ust i zwinnym ruchem obróciła się w jego objęciach. Patrzyła w dół i próbowała uspokoić rozszalałe zmysły. Serce biło jej

mocno, wzięła więc głęboki, uspokajający oddech. Grudniowy wiatr chłodził jej skórę i wyrównywał tętno.

Jednak Jake najwyraźniej nie zamierzał przerywać tych miłych chwil. Delikatnie całował jej kark i gładził ramiona.

- Czy to nie fascynujące? - odezwała się z trudem, próbując odciągnąć swoją uwagę od jego pieszczot. - Patrzysz w te oświetlone okna i możesz obserwować skrawki cudzego życia.

- Uhm, naprawdę fascynujące - przyznał z roztargnieniem, całując dla odmiany jej ucho.

Usiłowała skupić się na scence, którą zaobserwowała w jednym z okien. Matka z dzieckiem na ręku chodziła rytmicznym krokiem po pokoju i lekko poklepywała maleństwo po plecach. Co kilka sekund znikali jej z widoku, by po chwili pojawić się znowu.

Jake tymczasem przesunął dłonie niżej i zaczął całować wgłębienie koło obojczyka.

Skup się, dziewczyno! Skup się, zaklinała się w duchu.

Rozpaczliwie szukała jakiegoś innego obiektu, na którym mogłaby skupić uwagę. Jej wzrok znalazł otwarte okno, a w nim parę w średnim wieku, szykującą sobie kolację. Nie spieszyli się, ledwie spoglądali na siebie, ale poruszali się w doskonałej harmonii, jak w tańcu. Pewnie wypracowali tę sekwencję, przygotowując wspólne posiłki przez wiele lat. Nie mogła oderwać od nich wzroku. Na chwilę zapomniała nawet o podstępnych działaniach Jake'a. Wiedziała, dlaczego ten widok działa na nią tak hipnotyzująco, najbardziej na świecie pragnęła też poruszać się z kimś kiedyś w takim doskonałym tańcu codzienności.

- Robi się coraz zimniej, Jake - powiedziała cicho. - Wejźmy do środka.

Otworzył szerzej drzwi i przepuścił ją, żeby weszła do pokoju. Potem zaciągnął szczelnie zasłony, tak że nie docierał do nich nawet okruch zwykłego świata.

Ale Serena oczami wyobraźni wciąż widziała tamtą parę. Zaraz usiądą przy tym okrągłym stole, wymienią się opowieściami o tym, co przydarzyło im się przez cały dzień, będą się uśmiechali do siebie i przerzucali drobnymi żarcikami.

Starła się odpędzić od siebie ten obraz. Rozejrzała się po nowocześnie urządzonej salonie i w rogu dostrzegła gitarę akustyczną.

- Grasz? - Kiwnęła głową w jej kierunku.

- Raczej grywałem. Teraz już prawie nie... Brak mi czasu.

- Zagraj coś dla mnie - poprosiła.

- Nie. - Zaśmiał się, nagle skrepowany. - Nie chciałbym się wygłupić.

Jesteś pewnie przyzwyczajona do lepszych koncertów.

- Wobec tego, ja spróbuję. - Sięgnęła po gitarę, ułożyła palce na strunach i starała się skoncentrować na zagranie jedynej melodii, jaką potrafiła. Przerwała jednak w środku frazy, bo spojrzała na Jake'a i zobaczyła, że jego brwi uniosły się niemal do linii włosów.

- To najgorsza interpretacja, jaką słyszałem - przyznał zaskoczony.

Roześmiała się i skłoniła lekko.

- Wielkie dzięki. Najwyraźniej talent muzyczny dziedziczy się co drugie pokolenie. - Zdecydowanym ruchem podała mu gitarę. - Chciałam tylko pokazać ci, że nawet jeśli słyszałam lepsze wykonania, to sama jestem w tej dziedzinie kompletnym beztalenciem. Po moim koncercie, każdy następny będzie lepszy.

- Ośmieliłaś mnie - przyznał, sięgając po gitarę.

Oparła się na kanapie, podczas gdy Jake całkiem zgrabnie zagrał piosenkę, którą właśnie tak niemiłosiernie skatowała.

- Nieźle - przyznała, kiedy skończył. - Nie myślałeś nigdy, żeby grać zawodowo?



- Raczej nie. Chciałem przede wszystkim wyciągnąć mamę i Mel z tamtej dzielnicy, a do tego potrzebne mi było stałe i pewne źródło zarobków. Dlatego gitara musiała przegrać z księgami rachunkowymi.

- Każdy chłopak marzy przecież, by zostać muzykiem...

- Być może, ale nie każdy może sobie pozwolić na realizację tych marzeń.

- Zamilkł na chwilę, po czym dodał:

- Moje życie jest dokładnie takie, jak sobie zaplanowałem. Nie chcę niczego zmieniać.

Nie wiedziała dlaczego, ale zrobiło jej się przykro, kiedy usłyszała tę odpowiedź.

Jake też się zamyślił, patrzył gdzieś w przestrzeń i zdawało się, że niemal bezwiednie wygrywa kolejne akordy. Przymknęła oczy i dała się ovladnąć czarowi muzyki.

- Piękne... Co to było?

- Napisałem to wiele lat temu. Borykam się z tym od lat, ale wciąż nie potrafię znaleźć właściwego zakończenia.

- Odstawił gitarę i oparł ją o szafkę z książkami. - I chyba już nigdy nie znajdę.

- Zagraj jeszcze - poprosiła. - To było takie przyjemne i kojące...

Uśmiechnął się i zaczął znowu grać. Popijała wystygłą kawę i obserwowała go uważnie, zatopionego w dźwiękach muzyki. Był tak zaabsorbowany graniem, że wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. I nagle zrozumiała, że widzi taką twarz Jake'a, jaką zwykle starał się ukryć. Wrażliwą, twórczą, pełną wyobraźni, daleką od konserwatywnych garniturów i dokumentów księgowych.

Poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w żołądek, kiedy zrozumiała, że ten księgowy ma duszę artysty!

- Jake, boję się - jęknęła. - Nie wiem, gdzie jesteśmy!

- To się wkrótce okaże - obiecał.

Jak każda dziewczyna lubiła niespodzianki, ale spacer przez pół Londynu z jedwabną chustką na oczach, to już chyba lekka przesada. Jake zawiązał ją zaraz po tym, gdy wsiedli do taksówki po wyjściu z restauracji. Rozumiała więc, że czekała ją jeszcze jedna niespodzianka.

Teraz trzymał ją za rękę i prowadził w dół po jakichś niekończących się kamiennych schodach.

- Mogę to zdjąć? - spytała z nadzieją, kiedy w końcu poczuła, że stoją na płaskim terenie.

- Jeszcze nie. - Odsunął jej palce od chustki i poprowadził gdzieś dalej.

Słyszała coś, co przypominało stukot fal, uderzających o brzeg. Czyżby byli nad Tamizą? Po kilku kolejnych krokach zatrzymał się nagle i powiedział:

- A teraz, Sereno, coś bardzo ważnego. Kiedy dam ci znak, musisz zrobić duży krok do przodu, rozumiesz?

Przytaknęła, choć czuła się bardzo niepewnie.

- Gotowa? Więc naprzód!

Zacisnęła mocno oczy, choć i tak nie miało to żadnego sensu i zrobiła najdłuższy krok, jaki mogła.

- Ruszamy się! - pisnęła podekscytowana chwilę potem i wtuliła się mocno w Jake'a.

Roześmiał się miękko i pocałował ją w czoło.

- Cudownych urodzin, Sereno - powiedział cicho rozplątując wreszcie chustkę. - Możesz już otworzyć oczy.

Powoli rozchyliła powieki i zaraz zamknęła je z powrotem, oślepiona jaskrawym światłem wokół. Znajdowali się wewnątrz czegoś dziwnego... Początkowo nie docierało do niej, gdzie jest. Światła, metal, szkło... Nagle wszystko stało się jasne.

- Jesteśmy w London Eye! - krzyknęła uszczęśliwiona jak dziecko.

Uspokoila się już trochę i wreszcie mogła rozejrzeć się wokół. Byli sami w jednej z tych szklanych jajowatych kabin zawieszonych na wielkim kole. Nigdy jeszcze nie widziała tak pięknej panoramy Londynu. Ruch kabiny był tak łagodny, że niemal go nie zauważała, ale jednak powoli wspinali się na sam szczyt. Poniżej mrugało do nich całe miasto obwieszone już bożonarodzeniowymi ozdobami. Jak dziecko przycisnęła nos do szyby i chłonęła ten widok.

Nagle usłyszała za plecami charakterystyczny dźwięk wyskakującego korka od szampana. Obróciła się i zobaczyła Jake'a z tym jego zniewalającym uśmiechem.

- I to wszystko z okazji moich urodzin? - dopytywała się wzruszona.

- Dlaczego myślisz, że to już wszystko? Nie dostałaś jeszcze prezentu.

Zerknęła wokół, ale nigdzie nie widziała żadnego pakunku ze wstążką. Nic.

- Gdzie go masz? - Zaśmiała się. - Nie mów, że teraz zabierze nas stąd helikopter.

Pokręcił głową i klepnął się w wewnętrzną kieszeń marynarki.

- Jest tutaj, ale dam ci go, jak dojedziemy na sam szczyt.

Z trudem przełknęła ślinę. Wołała sobie nawet nie wyobrażać, co tam miał. Niewątpliwie to był wyjątkowy prezent, wręczony w wyjątkowych okolicznościach. I był tak mały, że mieścił się w kieszeni...

Nie, to głupi pomysł, zdecydowała szybko. Jake nie działałby tak pośpiesznie.

Miała wrażenie, że kabina unosi się coraz wolniej, aż w końcu zawisła na samym szczycie. Wtedy Jake odwrócił się do niej i spojrzał jej głęboko w oczy. Serce niemal przestało bić w jej piersi.

- Chcę, żebyś wiedziała, że jesteś najbardziej fascynującą kobietą, jaką znam - zaczął Jake cichym głosem. - Nikt dotąd nie robił na mnie takiego

wrażenia. Dlatego chciałbym dać ci coś wyjątkowego. Coś, czego jeszcze nigdy nie dałem nikomu...

Jak zahipnotyzowana patrzyła na jego dłoń, która wsunęła się pod połę marynarki, by wyjąć stamtąd niewielkie, pokryte aksamitem pudełeczko.

Kwadratowe. Niewielkie. Takie akurat na...

Ścisnęła nóżkę kieliszka, jakby to była lina ratunkowa. Miała wrażenie, że cały świat zatrzymał się i wstrzymał oddech, podczas gdy Jake powoli otwierał wieczko, by odsłonić...

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kolczyki.

Spojrzała na niego zaskoczona. Wyciągnęła rękę i dotknęła pudełeczka, jakby chciała upewnić się, czy dobrze widzi.

Nie myliła się jednak. Na aksamitnej poduszczyce leżała para przepięknych kolczyków w kształcie splecionego bluszczu. Nigdy nie widziała czegoś równie cudownego.

I były dla niej. Tylko że...

- To są... kolczyki...

Jake zeszywniał. Przez ułamek sekundy odniosła wrażenie, że go zraniła.

- Nie podobają ci się? Byłem pewien, że są takie, jak lubisz, ale ...

- Tak, Jake - zapewniła szybko. - Są wspaniałe, naprawdę.

Patrzył na nią badawczym wzrokiem.

- To czemu wyglądasz, jakbyś miała się rozpłakać?

Odstawiła kieliszek, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go lekko. Gdy uznała, że jej oddech uspokoił się na tyle, by mogła w miarę spokojnie mówić, odsunęła się lekko i powiedziała:

- Kolczyki są cudowne, naprawdę. Wiem, że kazałeś je zrobić specjalnie dla mnie i jestem ci bardzo wdzięczna. Nikt jeszcze nie zadał sobie dla mnie tyle trudu. To najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. - I w tym, co mówiła, nie było ani odrobiny fałszu. Naprawdę szalenie jej się podobały. - Płaczę, bo jestem bardzo wzruszona.

Właśnie jakaś łza popłynęła jej po policzku i zawisała w kącie ust. Szybko wtuliła się w Jake'a, żeby zatamować kolejne.

- Może dolejesz mi szampana? - spytała po chwili, by przerwać ciszę.

Odwrócił się, żeby napełnić jej kieliszek, a kiedy go podał, kolczyki już błyszcząły w jej uszach.

- Jesteś pewna, że ci się podobają?

Nie odpowiedziała, zamiast tego pocałowała go delikatnie w policzek.

- Bardzo. Uwielbiam je.

- Cóż... cieszę się.

Podróż w dół spędzili z zupełnej ciszy. Jake wydawał jej się jakiś odległy. Nie wiedziała, co powiedzieć, żeby rozładować atmosferę. Miała rozpaczliwą nadzieję, że Jake nie jest rozczarowany jej pierwszą reakcją na prezent. Co jej przyszło do głowy, żeby podejrzewać go o... Przecież znali się niewiele ponad miesiąc.

Była pewna, że kiedy rano będzie opowiadała o tym Cassie, sama będzie się z tego śmiała. Kabina dotarła wreszcie do ziemi i otworzyła się cicho. Znowu byli w realnym świecie. Brud, hałas, globalne ocieplenie i smog.

Naprawdę, bardzo to wszystko różniło się od bajkowej sceny tam na górze.

Jake stał przed pomalowanymi na czarno drzwiami i czekał, aż umilknie głos dzwonka. Najchętniej uciekłby stąd gdzie pieprz rośnie. Gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że może nie będzie jej w domu.

- Cześć! - usłyszał z góry.

Uniósł głowę i zobaczył Serenę, która wychylała się z okna na pierwszym piętrze. Wyglądała po prostu cudownie. Ciemne włosy miała rozpuszczone i uśmiechała się do niego czarująco. Ucieszyła się na jego widok, a on poczuł się jak ostatni łajdak.

- Podejź do tylnych drzwi, otworzę ci - zawołała.

Przeszedł przez wąskie, porośnięte bluszczem przejście, pchnął ciężkie drzwi i wszedł do kuchni. Już tam była. Wysoka, szczupła, uśmiechała się do niego i napełniała wodą czajnik. Kiedy tylko wszedł, podbiegła i uściskała go.

Musnęła ustami jego policzek. Jeszcze kilka dni temu objąłby ją, oddał pieśczętę i byłoby to zupełnie naturalne. Teraz jednak nie był w stanie tego zrobić. Łagodnie uwolnił się z jej objęć i usiadł na krześle.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że wpadłeś! Chrząknął lekko i poprawił się niespokojnie na krześle.

- Mam ważne nowiny - oznajmił w końcu.

I raczej ci się nie spodobają, dodał w myślach.

- Dobre czy złe? - Nie odpowiadał, przestała więc wyjmować filiżanki z szafki i spojrzała na niego uważnie. - Złe, prawda?

- Właściwie to dobre. - Próbował się uśmiechnąć. - Tylko brzmi jak złe.

I wierzył, że to była prawda. Nie chciał tego, ale naprawdę nie miał innego wyjścia. Bardzo ją lubił, miał nadzieję, że będą spotykali się przez jakiś czas, jednak po przygodzie z kolczykami nie mógł dłużej tego ciągnąć, dla jej dobra.

Zupełnie go zaskoczyła. Był przekonany, że akurat z jej strony nie grożą mu takie oczekiwania. Nie powinien był aż tak celebrować jej urodzin, ale nie potrafił się powstrzymać. Tak bardzo podobał mu się blask pojawiający się na jej twarzy na widok każdej niespodzianki. Powinien przewidzieć jej reakcję, w końcu była kobietą. Może i wychowywała się wśród szalonych artystów, ale poznał ją przecież trochę i szybko zrozumiał, że nie jest podobna do swoich

rodziców. Jak każda kobieta chciała więcej, niż mógł jej dać. Był na nią trochę zły, bo przez chwilę pozwoliła mu wierzyć w niemożliwe.

- Jake, zaczynasz mnie martwić - powiedziała po chwili. - Stało się coś złego? Ktoś zachorował?

- Nie, nic z tych rzeczy - zapewnił. - Po prostu od dawna się nad tym zastanawiałem i chyba nadarzyła się odpowiednia chwila, żeby...

- Co? - spytała niecierpliwie.

- Zdecydowałem się otworzyć filię mojej firmy w Nowym Jorku.

- Och, to cudownie! - ucieszyła się szczerze. Spojrzała na niego z wyraźną dumą, a on poczuł się jak ostatni śmieć.

- Tak, ale to nie wszystkie nowiny - ciągnął. - Będę musiał spędzić tam jakiś czas. Wylatuję jutro i nie wrócę wcześniej niż w połowie stycznia. Jej wzrok posmutniał.

- Nawet na święta?

- Nie. Mama i Mel odwiedzą mnie, ale ja tu nie przylecę.

- Więc kiedy cię zobaczę?

- O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. - Zerknął na swoje dłonie i zacisnął palce. Nie potrafił patrzeć jej w oczy, to było trudniejsze, niż mógł przypuszczać. Wiele razy odbywał już takie rozmowy, ale nigdy nie czuł się tak podle. Wziął głęboki wdech i skrzyżował ramiona. - Przez najbliższe tygodnie nie będę miał czasu na nic poza pracą. Uważam więc, że powinniśmy nieco przystopować.

Spojrzała na niego zaskoczona i otworzyła lekko usta. Po chwili wzięła głęboki wdech i spytała:

- A tak dokładnie, to co masz na myśli?

Pamiętaj, tego nie da się załatwić delikatnie. Im bardziej będziesz się ceregielić, tym bardziej jesteś tak naprawdę okrutny. Powiedz wprost, o co chodzi, nakazywał sobie.

- Uważam, że nie powinniśmy się więcej spotykać. Związki na odległość raczej się nie sprawdzają.

- Sprawdzają, jeśli tylko obie strony tego chcą! Nie wyjeżdżasz przecież na zawsze, są telefony, mejle... - przerwała nagle. - Och, jaka jestem głupia! Ty po prostu szukasz pretekstu...

- Sereno, ja...

- Nie trudź się, Jake. Wyczuwam takie bzdury na kilometr.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Mógł tylko patrzeć ze ściśniętym żołądkiem na jej zagniewaną twarz.

- A jaki jest prawdziwy powód? - spytała twardo.

- Będę bardzo zajęty i...

Przeszła przez kuchnię i spojrzała na niego uważnie.

- Chcę znać prawdę!

Wpatrywał się w jej czekoladowe oczy. Miała rację. Nie zasługiwała na żadne wykrety. Mógł poczekać kilka miesięcy z otwarciem biura w Nowym Jorku, zresztą wcale nie musiał wyjeżdżać na tak długo.

- Naprawdę chcesz prawdy?

- Tak.

- Nie spodoba ci się.

- Nieważne. To lepsze niż fałsz i niepewność. Myślałam, że przydarzyło nam się coś specjalnego.

- Przydarzyło się, ale nic z tego nie wyjdzie. Dlatego lepiej to zakończyć teraz, zanim ktokolwiek zostanie zraniony.

Zmrużyła oczy, zagryzła usta i potrząsnęła głową.

Zgoda, to było głupie. Już ją zranił, wiedział o tym. To rozstanie również dla niego wcale nie było łatwe. Będzie mu brakowało Sereny, jej poczucia humoru, ciepła, otwartości i przekonania, że zaraz za rogiem czeka na odkrycie kolejna fascynująca tajemnica.



Wiedział, dlaczego to było takie ciężkie. Nigdy wcześniej nie czuł się tak wspaniale jak przy Serenie, nawet z Chantelle. Nie podejrzewał, że kiedyś spotka kobietę, która będzie do niego tak bardzo pasować. A teraz ta kobieta stała przed nim i wpatrywała się w niego z takim napięciem, że musiał zmobilizować wszystkie siły, by dokończyć to, co zaczął.

Gdyby tylko... Gdyby tylko był inny. Gdyby tylko umiał uwierzyć w porywy serca i siłę uczucia.

Chciała całej prawdy? Dostanie ją zatem, nawet jeśli oboje zapłacą za to wysoką cenę.

- Myślałaś, że w tym pudełeczku będzie coś innego, prawda? - spytał ze ściśniętym gardłem.

Widział, że chciała zaprzeczyć, ale w końcu zrezygnowała. Zaczerwieniła się, wypuściła powietrze i popatrzyła w podłogę.

- Czy to takie straszne? - spytała cicho.

- Nie, tylko... - Nie miał już siły. Tak bardzo chciałby porwać ją w ramiona i utulić. Powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mógł. - Nie nadaję się do tego, Sereno.

Spojrzała na niego zaskoczona, jakby nie była w stanie uwierzyć.

- Skąd wiesz, skoro nie próbowałeś. - Jej głos był miękki i drżący.

Widział, ile wysiłku kosztowało ją to pytanie.

- Po prostu wiem.

Zakryła dłonią usta. Łzy spływały jej po twarzy.

- Gdybym jednak szukał związku na całe życie, to nikogo nie pragnąłbym bardziej niż...

- Przestań! - przerwała mu drżącym głosem. - Nie chcę tego słuchać!

Podeszła do drzwi, otworzyła je i stała w nich, nie patrząc na niego. Zawahał się, ale w końcu podniósł się z krzesła. Chociaż odwróciła głowę, pocałował ją delikatnie w policzek.

Wyszedł z ciepłej kuchni. Oślepiło go blade zimowe słońce. Zatrzasnęła za nim drzwi, a po chwili usłyszał rozpaczliwy szloch.

Chwyliła irytująco jazgotliwy budzik i cisnęła go w kąt ale natarczywy dźwięk nadal dobiegał do jej uszu.

Wychyliła nos spod kołdry i jednym okiem spojrzała na zegarek. To nie był dźwięk budzika. A więc co?

Z trudem uniosła się na łóżku i usiłowała pozbierać myśli. Znowu zerknęła na leżący pod ścianą budzik. Kiedy walnęła nim o podłogę, wyleciały baterie, a więc z całą pewnością to nie stamtąd dobiegał ten okropny dźwięk.

Ach, miała jeszcze telefon!

Podniosła słuchawkę i odezwała się z wysiłkiem:

- Słucham?

- Cześć! - usłyszała rzeński głos przyjaciółki.

- Cass, co cię napadło, żeby dzwonić o tak nieprzyzwoitej godzinie!

- Nieprzyzwoitej? Jest wpół do jedenastej! Lepiej spójrz na zegarek.

Ha, łatwo powiedzieć!

- No, dobrze. Jest wpół do jedenastej. I co z tego?

- Tyle tylko, że obiecałaś wpaść do mnie o dziesiątej.

- Przepraszam - jęknęła. - Całkiem o tym zapomniałam, naprawdę.

- To lepiej niech ci się przypomni. Wydawało mi się, że jednym z twoich noworocznych postanowień było zrobienie czegoś pożytecznego w czasie, gdy Mike jest na kuracji.

Westchnęła ciężko i oparła się o ścianę, ze słuchawką przy uchu. Jak znała Cassie, przyjaciółka jej nie odpuści.

- Ale to było prawie miesiąc temu! - przypomniała. - Wszyscy wiedzą, że noworoczne postanowienia trwają nie dalej niż do trzeciego, no, góra do piątego stycznia!

- Obiecałaś, że pomożesz mi przy projekcie muzycznym. - Cassie była stanowcza i bezlitosna.

- A co niby miałabym robić? - jęknęła. - Nie wiem nic o dzieciach, a muzykę znam wyłącznie od strony biznesowej. Tylko bym ci przeszkadzała.

- To ja jestem szefem tego projektu i ja decyduję, kto będzie mi przeszkadzał, a kto nie - przerwała jej Cass. - Poza tym to są nastolatki, nie małe dzieci. Poradzisz sobie. A tak nawiasem mówiąc, to uważam, że dość już tego pogrążania się w rozpacz.

- Nie pogrążam się! - zaprotestowała słabo.

- Tak? To przestań wreszcie płakać w poduszkę i wylaż z łóżka!

Serena odsunęła lekko słuchawkę i pokazała telefonowi język. Z najlepszymi przyjaciółmi był taki właśnie problem, że za dużo o tobie wiedzieli.

- Może jest mi trochę smutno - przyznała po chwili. - Kochałam go.

Usłyszała westchnienie.

- Wiem, że tak myślisz, ale przecież wcale go nie znałaś.

- Znałam wystarczająco!

- Ale za mało, aby się zorientować, że nie zamierza się ustakować i wychowywać razem z tobą małej drużyny piłkarskiej - ciągnęła okrutnie Cassie. - Powiedziałabym, że to dość istotna informacja.

Już miała powiedzieć, że przecież Jake wydawał się taki... Szukała odpowiedniego słowa, gdy nagle ją olśniło. Właśnie, wydawał się. Jej się wydawał. Wszystkie jej mrzonki oparte były na fałszywych założeniach i naiwnych wizjach. Bo przecież on sam nigdy nie powiedział ani nie zrobił nic, co sugerowałoby, że marzy o małżeństwie i rodzinie. Przymknęła oczy i westchnęła. Czyżby rzeczywiście zakochała się w swoim wyobrażeniu, a nie w prawdziwym Jake'u?

- W każdym razie bądź tu przed południem - miękki, ale stanowczy głos Cassie wyrwał ją ze smutnych rozmyślań.

- Zgoda, do zobaczenia o dwunastej.

Odrzuciła kołdrę, usiadła na brzegu łóżka i przez chwilę wpatrywała się w ścianę. Czuła pod stopami zimną podłogę i miała ochotę wrócić do ciepłej pościeli.

Nie mogła jednak przeleżeć całego dnia w łóżku i rozpaczać po Jake'u. Zmarnowała już dość czasu i wiedziała, że do niczego to nie prowadzi.

Jęknęła i wyprostowała się z trudem. W domu panowała idealna cisza. Ojciec dał się wreszcie namówić na kurację odwykową, nie miała więc żadnych zajęć. Dopiero teraz zorientowała się, jak wiele czasu poświęcała na zajmowanie się jego sprawami. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to gdy ojciec wróci do domu, nie będzie jej już tak bardzo absorbował. I co wtedy zrobi?

W jednym Jake miał rację, nie mogła całe życie zajmować się ojcem. Musiała znaleźć sobie inny cel. A skoro tak, to równie dobrze może zacząć od pomagania Cassie w realizacji jej planów.

Skręciły w prawo, zaraz za zakrętem pojawiło się osiedle szarych bloków z lat sześćdziesiątych.

- Cassie, gdzie my jedziemy? Myślałam, że te zajęcia będą w waszej sali parafialnej!

- Nie, to byłoby za banalne. Steve stwierdził, że jeśli chcemy dotrzeć do młodzieży z takich środowisk, nie możemy oczekiwać, że przyjdą do nudnej świetlicy przykościelnej.

Nudna? O parafii Steve'a można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest nudna. Podczas odprawianych przez niego nabożeństw gitary elektryczne i perkusje grały tak głośno, że słysząc je było trzy ulice dalej.

- W Świątym Piotrze nie ma nudnych nabożeństw - zaprotestowała.

Cassie uśmiechnęła się zadowolona.

- My to wiemy, ale tutejsze dzieciaki nie mają o tym pojęcia. Dlatego zdecydowaliśmy, że przekształcimy starą świetlicę w centrum muzyczne. Skoro góra nie przyszła do Mahometa...

Zatrzymały się przed niskim, pokrytym kolorowymi napisami budynkiem. Wąskie okienka, choć chronione kratami, były wszystkie wybite.

- Nie myślisz chyba o tym miejscu? - spytała przerażona.

- Dokładnie o tym. - Cassie wzięła się pod boki, rozejrzała wokół gospodarskim wzrokiem i powiedziała: - Trzeba tu tylko trochę zamieść i sprzątnąć. Szklarz i stolarz przyjdą jutro, a my zaraz łapiemy się za pędzle. Mamy tydzień, żeby doprowadzić to miejsce do względnego porządku.

Kiedy Cassie otwierała drzwi baraku, Serena przesunęła wzrokiem po okolicznych blokach. Serce biło jej mocno.

To były bloki Jake'a. Nie wiedziała, który dokładnie, ale była pewna, że to właśnie te wysokie budynki pokazywał jej tamtego dnia w parku.

- Wchodzisz czy zostajesz podziwiać widoki? - zapytała Cassie,

Ledwie przekroczyła próg, przyjaciółka od razu wcisnęła jej parę żółtych rękawic roboczych.

- Wyniosę te stare meble na zewnątrz, a ty tu zamieć - komenderowała.

Serena posłusznie wzięła miotłę opartą o ścianę. To było doskonale zajęcie, przyznała w duchu. Proste i nie wymagające myślenia.

Obie były tak pogrążone w pracy, że kilka godzin minęło jak chwila. W końcu usiadły na rozklekotanych stołkach i zrobiły sobie chwilę przerwy.

- Patrz, ten chłopak z drugiego piętra musi być bardzo towarzyski - odezwała się Serena, wskazując balkon stale oblegany przez młodych ludzi. - Ciągle ktoś go odwiedza.

Cassie wyjrzała przez dziurawe okno.

- Chyba wiem, czyje to mieszkanie. I zapewniam cię, że to nie jest najbardziej lubiany facet na osiedlu.

- Dlaczego więc ma tylu gości?

Przyjaciółka popatrzyła na nią z niedowierzaniem i pokręciła głową.

- Ty naprawdę żyjesz w wieży z kości słoniowej. To jest diler.

Narkotyków - podkreśliła ostatnie słowo.

Serena oniemiała.

- Ale przecież tam przychodzą same dzieciaki. Niektóre pewnie nawet nie skończyły podstawówki.

- I dlatego właśnie są takie przydatne - niewiele im grozi. Na razie tylko przenoszą towar, a za kilka lat staną się częścią sieci dystrybucji. Ciągłe nie mogła w to uwierzyć.

- Ale dlaczego te dzieciaki w ogóle dają się w to wkreślić? O co chodzi?

Przez chwilę Cassie nie odpowiadała. Potem wstała, pociągnęła ją za sobą i wyprowadziła przed budynek.

- Widzisz to czarne bmw? - wskazała na parking. - Należy do jednego z większych dilerów. W takich miejscach dzieciaki dorastają bez żadnych perspektyw na lepszą przyszłość. Pewnego dnia spotykają faceta w modnych, markowych ciuchach, połyskującego grubą złotą bransoletą, zajeżdżającego wystrzałowym samochodem. Chcą dla siebie tego samego, bo to jedyny wzorzec sukcesu, jaki znają.

- To takie przygnębiające - westchnęła z bólem.

- Właśnie. - Cassie wcisnęła jej szmatę w rękę. - I dlatego nasz projekt jest bardzo ważny. To niewiele, ledwie skromny początek, ale musimy im pokazać, że są jeszcze inne perspektywy, że można robić w życiu coś innego!

- No, to do dzieła! - zawołała ożywiona. - Co mam teraz robić?

- Widzisz tę małą kuchnię?

Z zawziętością szorowała brudne szafki. Nie mogła przestać myśleć o tych dzieciakach w kapturach na głowie, którym wydaje się, że jedyną szansą na lepsze życie jest handel narkotykami.

Jej dzieciństwo nie było może sielanką, ale przecież zawsze wiedziała, że rodzice ją kochają. Wcześniej straciła matkę, ale przeżyły razem wiele szczęśliwych lat, a później Mike też otaczał ją miłością.

Skrobała przypalone palniki i wściekała się na siebie w duchu. Zmarnowała mnóstwo czasu, uzalając się nad sobą, podczas gdy powinna raczej dziękować losowi za wszystko, co dostała.

Po godzinie kuchnia błyszczała czystością, a Serena z rękami na biodrach podziwiała efekty swojej pracy.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem! - zawołała, ocierając czoło ramieniem.

Cassie pojawiła się obok ze szczotką i pełną szufelką.

- A ja marzę o czymś zimnym do picia. Może przesłabyś się do sklepiku?

Kiwnęła głową, włożyła kurtkę i wyszła na zewnątrz. Szła dziarskim krokiem, starając się nie rozglądać za bardzo na boki, kiedy poczuła, że ktoś za nią idzie. Niezbyt blisko, jednak trochę ją to zaniepokoiło. Zwolniła, żeby dać się wyprzedzić, ale ten ktoś również zwolnił.

Serce łomotało jej mocno i odruchowo znowu przyspieszyła.

Rzuciła wzrokiem przez ramię, modląc się, żeby z tyłu szła drobna staruszka w ciepłym paletku.

Ale nie, to był mężczyzna.

Więcej i tak nie mogła dostrzec. Miał czapkę naciśniętą na oczy, brodę i usta ukrył za szalikiem. Kiedy spojrzała na niego, jeszcze bardziej wtulił głowę w postawiony kołnierz szarego płaszcza.

Nie robił nic przerażającego, nie zbliżał się do niej, ale mimo wszystko czuła narastający niepokój.

Zanim zdążyła pomyśleć, co robi, niemal biegiem wpadła do jednego z bloków. Pchnęła obdrapane drzwi, przebiegła przez klatkę schodową i nerwowo naciskała guzik windy. Hol śmierdzał jak toaleta publiczna.

Nie słyszała, żeby mężczyzna też wszedł do bloku, ale czuła, jak ogarnia ją panika. Winda nie przyjeżdżała. Serena ponownie nacisnęła guzik, ale już nie czekała, pobiegła do schodów i szybko pokonywała kolejne stopnie. Jej kroki dudniły w zamkniętej przestrzeni.

Zatrzymała się w końcu na jednym z pięter i wstrzymała oddech. Nie słyszała nic podejrzanego.

Ale co teraz? Może ten facet nadal stał przy wejściu?

Spojrzała w górę. Czternaste piętro, jak wspomniał Jake. Znowu podjęła marsz po schodach, ale tym razem już trochę wolniej.

W końcu tam dotarła. Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się wokół.

Nie miała pojęcia dlaczego, ale wyobrażała sobie, że wszystko wokół będzie niemal krzyczało: „Jake tu mieszkał!”. Tymczasem stała na korytarzu, który niczym nie różnił się od tych mijanych wcześniej. Podeszła do okna i spojrzała z góry na świat Jake'a.

Wokół widać było tylko szare bloki z mizernymi śladami zieleni. Próbowала wyobrazić sobie piętnastoletniego Jake'a, ale żadna wizja nie wydawała się właściwa. Umiała go sobie wyobrazić tylko w drogich koszulach, tradycyjnych garniturach, uczesanego tak starannie, że nie odstawał żaden kosmyk. Nie miała pojęcia, jak wyglądał Jake z tego osiedla.

Jednak teraz lepiej rozumiała, dlaczego tak bardzo chciał odnieść sukces i lubił luksusowe rzeczy. Musiała przyznać, że przebył długą drogę. Tylko dzięki swojej sile i determinacji sprawił, że jego bmw stało na strzeżonym parkingu, a on czekał w eleganckim biurze na kolejnego klienta, który powierzy mu pieczę nad swoimi finansami.

Zeszła powoli, ostrożnie podeszła do drzwi wejściowych i wypatrywała śladów szarego płaszcza.

Wyszła z bloku i wkrótce dotarła do szeregu niskich sklepików.

A więc takie były korzenie Jake'a. To był jego świat. Nie miała pojęcia, jak udało mu się tu przetrwać.



Jake opierał łokcie na poręczy wózka bagażowego i obserwował przesuwane się pasmo kolorowych walizek.

Blondynka po drugiej stronie podajnika próbowała nawiązać z nim kontakt wzrokowy, ale udawał, że tego nie dostrzega. Kiedyś odpowiedziałby uśmiechem, teraz jednak sięgnął po swój bagaż i odszedł.

Choć próbował z tym walczyć, jego myśli wciąż krążyły wokół jednego tematu. Gdzie ona jest? Co teraz robi? Jak wygląda?

Miał nadzieję, że nowe obowiązki i tempo życia w Nowym Jorku pomogą mu zwalczyć to uczucie, ale nic z tego nie wyszło. A teraz, kiedy znowu był w Londynie, myśli o Serenie stały się jeszcze bardziej natarczywe.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lodowaty deszcz uderzał miarowo w okna świetlicy osiedlowej. Serena spojrzała na Cassie i westchnęła ciężko. Było kilka minut po dwudziestej, a nikt się nie pojawił. Podobnie jak tydzień temu.

Zerknęła na Mel, która pomagała Cass przy tym projekcie. Dziewczyna oparła łokcie na blacie i ukryła podbródek w dłoniach; Serena aż drgnęła. Mel tak bardzo przypominała brata - te same ciemne włosy, niebieskie oczy i mnóstwo wdzięku. Jednak w przeciwieństwie do Jake'a Mel nie kryła swych uczuć.

Jakie to zresztą miało znaczenie? To, co Jake robił ze swoimi uczuciami, było wyłącznie jego sprawą. Przymknęła oczy i starała się wymazać jego obraz z pamięci. Bezskutecznie.

Steve nagle wstał ze stołka, klasnął w ręce i zawołał:

- No, załogo, czas wezwać posiłki!

- Jak zamierzasz to zrobić? - Serena przesunęła wzrokiem po rzędach pustych krzeseł i dodała: - To byłby niemal cud!

- Chyba zapominasz, że cuda to moja branża - zaśmiał się. - Tym razem miałem na myśli raczej ciebie. Swoją drogą dziwne, że wcześniej na to nie wpadłem. Przecież ty i twój ojciec musicie mieć mnóstwo kontaktów w branży muzycznej! Nie mogłabyś ściągnąć tu kogoś? Kogokolwiek... Potrzebujemy jakiegoś znanego nazwiska, żeby zainteresować te dzieciaki.

Przez chwilę wpatrywała się przed siebie zamyślona, a potem uśmiechnęła się do Steve'a zwycięsko.

- Jest ktoś taki! I jest mi coś winien. Będziesz miał swoje nazwisko, Steve, obiecuję!

Był przekonany, że uodpornił się już na jej sztuczki, ale znowu go w coś wrobiła. Z niedowierzaniem kręcił głową i wpatrywał się w telefon. Jego mała siostrzyczka była chyba czarownicą. Jeszcze przed chwilą przeglądał wiadomości i próbował zorientować się, co działo się w biurze podczas jego nieobecności, a minutę potem zgodził się poświęcić codziennie godzinę na prowadzenie warsztatów muzycznych w jakimś jej projekcie.

Od dziś powinien nalegać, by zawsze rozmawiali tylko twarzą w twarz. Robiła się zdecydowanie za sprytna.

- Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę! Jestem pana fanką! - Cassie była tak czarująca i wylewna wobec tajemniczego gościa, że biedak wydawał się zupełnie oszołomiony. Serena niemal mu współczuła.

Była bardzo zadowolona z siebie. Ściągnęła gwiazdę, która powinna przyciągnąć mnóstwo młodych ludzi. Koncert jeszcze się nie zaczął, a sala już pękała w szwach. Serena zauważyła nawet kilku lokalnych dygnitarzy.

- Jak ci się to udało? - spytała szeptem Cassie, kiedy Kevin odszedł na chwilę, by sprawdzić sprzęt.

Roześmiała się, ale nic nie odpowiedziała. Wołała nie zdradzać, że ten koncert to splata długu za niezliczone godziny opieki nad męczącym i szalenie irytującym dzieciakiem, którym kiedyś był ten facet.

- Właśnie, sam się zastanawiam, jak mnie tu ściągnęłaś - usłyszała z boku jego głos.

- Cicho bądź, Kevin, albo wszyscy usłyszą, jak tańczyłaś wokół choinki w czerwonych rajtuzach i z pieluchą zwisającą do kolan.

- Ej, to szantaż! - zaprotestował.

- Szantaż to brzydkie słowo. Wolę myśleć o tym raczej jak o wynagrodzeniu za mroczne czasy, kiedy nasi rodzice biegali na imprezy, a ja, jako starsza i rozsądna, musiałam zajmować się pewnym nieznośnym chłopcem. Pamiętasz, jak wzięłaś mój pierwszy samochód i porzuciłaś w Soho bez paliwa?

- To były czasy... - wspomniał rozmarzony.

- Weź się w garść, Kevin - zaśmiała się. - Ludzie na nas patrzą.

- Dla ciebie, mała, jestem DJ Daddy K - mruknął uwodzicielskim tonem i zrobił śmiesznie zblazowaną minę.

Roześmiała się ubawiona. Znała tego faceta od dziecka i wiedziała, że w niczym nie przypominał podrywacza, na jakiego kreowały go media.

- Jak sobie życzysz. - Klepnęła go w ramię i obróciła w stronę publiczności.

I nagle poczuła na plecach dziwny dreszcz. Wyraźnie czuła na sobie czyjś wzrok. To było zupełnie absurdalne, bo przecież patrzyło na nią mnóstwo osób. Mimo to wiedziała, że czyjeś oczy wpatrują się w nią w szczególny sposób. Czy to...

Odwróciła gwałtownie głowę, aż włosy zaplątały się w gałązki bluszczu na jej kolczykach i spojrzała prosto w błękitne oczy.

Jake.

Serce zatrzepotało jej jak oszalałe i spadło na ziemię jak ptak z podciętymi skrzydłami. Nie spodziewała się tego spotkania. Nie miała pojęcia, że wrócił już ze Stanów i pojawi się w zapyziałej świetlicy osiedlowej.

Skąd się tu wziął? Uciekł przecież z tego miejsca i obiecał sobie, że nigdy tu nie wróci.

Kątem oka dostrzegła wzrok Mel intensywnie wpatrujący się w nich oboje. Nagle wszystko zrozumiała. Nikt nie miał szans przeciwko połączonym siłom Mel i Cassie. Tylko dlaczego uważały, że ich działania mają jakąkolwiek szansę powodzenia? Niewiarygodne, że mogły być aż tak naiwne.

Miała ochotę odwrócić się i uciec stąd tak szybko, jak tylko pozwolą jej na to buty na wysokich obcasach. Właśnie w tym momencie Kevin objął ją lekko ramieniem i pociągnął za sobą na przód sceny.

Nie patrz na niego! Nawet nie waż się odwrócić głowy! Uspokój się! Zerknęła.

W jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. Niechętnym wzrokiem wpatrywał się w Kevina.

Czyżby był zazdrosny? Dziwne, biorąc pod uwagę, kto zakończył ich związek. Śmiało spojrzała w jego kierunku. To już było małe zwycięstwo. Poprawiła rękę Kevina na swoim ramieniu i uśmiechnęła się promiennie.

Koniec uzalania się nad sobą. Wyprostowała się. Postanowiła konsekwentnie ignorować palące spojrzenie Jake'a, które wciąż czuła na plecach.

Godzinę później całą świetlicę wypełniała głośnie muzyka, a Kevin dopiero się rozkręcał. Przepchnęła się przez tłum, podeszła do barku i poprosiła o butelkę wody mineralnej. Właśnie przeciskała się do wyjścia, kiedy stanęła twarzą w twarz z mężczyzną, którego z całych sił starała się unikać.

Dlaczego wyglądał tak oszalamiająco? To powinno być zabronione!

- Witaj, Sereno! - udało jej się odczytać z ruchu jego warg.

- Witaj! - odpowiedziała, próbując przekrzyczeć hałas. Powiedział coś jeszcze, ale nie dosłyszała.

Pochylił się więc i krzychał wprost do jej ucha:

- Pytałem, jak się masz.

- To pytanie było równie głupie, jak odpowiedzi, które przelatywały jej przez głowę. Wybrała najbardziej oryginalną wersję.

- Dobrze. A ty?

- Też dobrze.

Pomyślała, że gdyby to była bajka, obydwójgu powinny urosnąć nosy, jak Pinokiovi. Nigdy nie widziała go tak spiętego. Gdzie podział się jego słynny swobodny wdzięk?

- Tutaj nie możemy rozmawiać!

- A kto twierdzi, że mamy sobie jeszcze coś do powiedzenia? -

odkrzyknęła, ale nie była pewna, czy usłyszał. Posłała mu więc spojrzenie, które powinno zamienić go w kupkę popiołu i zaczęła przeciskać się na drugi koniec sali. Odwróciła się tyłem do skaczącego tłumu, odkręciła butelkę wody i napiła się.

- Nie chciałbym zostawiać między nami nierozstrzygniętych spraw - usłyszała za plecami.

Powinna była przewidzieć, że nie podda się tak łatwo. To dobrze, będzie miała okazję przeprowadzić rozmowę, którą od kilku tygodni układała sobie w głowie.

Energicznie zakręciła butelkę z wodą i odwróciła się do niego.

- Nie udawaj, że zależy ci na tym, Jake. To ty ze mną zerwałeś, pamiętasz? Ciesz się, że nadal jakoś funkcjonuję, zamiast latać za tobą i prześladować cię swoim uczuciem.

- Funkcjonujesz... - Spojrzał znacząco na Kevina, ale widać postanowił wrócić do głównego wątku. - Nie chciałbym, żebyś źle mnie zrozumiała, zawsze uważałem, że jesteś...

- Och, daj spokój - przerwała mu zirytowana. - Zostaw to teksty dla kogoś, komu na nich zależy, Charlie!

To był celny cios. Zobaczyła, jak gwałtownie zacisnął zęby.

- Jesteś podłym oszustem, Jake! - Wykorzystywała chwilową przewagę i nie zamierzała oddać mu inicjatywy.

- Wyglądasz jak miły, troskliwy facet, ale pod powierzchnią... Pod powierzchnią jesteś takim samym tchórzem jak cała reszta twojego gatunku!

Przez chwilę nie odpowiadał, w końcu chwycił ją za rękę i wyciągnął na zewnątrz.

Tutaj nie musieli krzyczeć, ale jego szept był tym bardziej przejmujący.

- Nie udawałem nikogo, kim nie jestem - oświadczył z mocą. - Niczego ci nie obiecywałem. Sama wyciągnęłaś pochopne wnioski. Widziałaś tylko to, co chciałaś widzieć!

Nie była w stanie się bronić. Słowa uwięzły jej w gardle. Co właściwie mogła powiedzieć?

Patrzył na nią i uśmiechał się, ale to był zimny, pozbawiony emocji uśmiech.

- Wygląda jednak na to, że szybko ruszyłaś na kolejne łowy.

- Ty arogancki... - przerwała i zagryzła wargi. Opanowała się jakoś i zapytała spokojniejszym głosem: - Co jest złego w tym, że chciałabym mieć męża i rodzinę? To nie jest nienormalne! Wszyscy tego szukają - miłości i szczęścia.

Przestał się uśmiechać i patrzył na nią bez słowa. Miała wrażenie, że opadł z niego cały gniew.

Wyciągnął rękę, uniósł jej podbródek i zmusił, by na niego spojrzała.

- Nie kłóćmy się, Sereno, to bezcelowe. Już ci mówiłem że jesteś wyjątkową kobietą. Masz rację, w pełni zasługujesz na miłość i szczęście, których szukasz.

To było jeszcze gorsze. Jakoś radziła sobie z jego gniewem, ale nie zniesie litości.

- Ale nie z tobą, tak? - spytała cicho.

- Nie - przyznał matowym głosem. - Nie byłbym w stanie dać ci tego wszystkiego. Złamałbym ci serce.

Za późno, chciała powiedzieć. Już to zrobiłeś.

- Skąd wiesz, skoro nigdy nie próbowałeś?

- Raz próbowałem i skończyło się wielką katastrofą. Nie chcę nikomu aż tak komplikować życia.

Na myśl o tym, że kiedyś jednak pokochał jakąś kobietę, żołądek ścisnął jej się z bólu.

- Cóż, chyba niewiele mogę na to powiedzieć, prawda? Żegnaj Jake.

Odezwał się cicho:

- Obiecałem, że przez najbliższy tydzień będę co rano prowadził warsztaty muzyczne. To pewnie oznacza, że będziemy się często widywali.

Westchnęła i pokiwała głową. Miał rację. Musi być rozsądna, chociaż jej serce rozpadało się właśnie na tysiące kawałeczków.

- Chyba nie mamy wyjścia - przyznała. - A więc rozejm?

Wyciągnęła rękę, a on ją ujął. Jednak nie potrząsnął nią lekko, jak tego oczekiwała. Oboje stali, trzymając swoje dłonie i wpatrując się w siebie.

On też to czuł. Widziała to wyraźnie. Mimo całego rozsądku i dystansu, jaki próbował sobie narzucić, nie był wcale taki spokojny. Gdy zerknęła w jego oczy, zobaczyła w nich odbicie własnych uczuć.

Zanim zdążyła się zorientować, poczuła na wargach dotyk jego ust.

Wiedziała, że powinna go odepchnąć. Zamiast tego jednak wtuliła się w niego i namiętnie oddawała pocałunki. Nie mogli przestać. Całowała go wiele razy, ale ten był wyjątkowy. Wyczuwała jego żarliwość i desperację. Całował ją, jakby sam chciał coś sobie udowodnić. Jak tonący, który rozpaczliwie

chwyta powietrze. Z taką pasją, jakby od tego zależało jego życie. A jej głupie serce niemal tańczyło w piersi, wyczuwając ten ogień.

Jake opamiętał się pierwszy. Odsunął się lekko, ale wciąż ją trzymał, aby nie upadła. Nie miała odwagi otworzyć oczu i spojrzeć na niego.

- Przepraszam - wyszeptał. - Nie powinienem był tego robić... Pozwolić...  
- Jego głos był rzeczywiście pełen żalu.

Marzyła o tym, aby betonowe płyty pod jej nogami rozstały się i pochłonęły ją całą.

- Próbowałem tylko powiedzieć, że powinniśmy jakoś ułożyć nasze wzajemne stosunki. Zostać... przyjaciółmi?

Nie miała ochoty niczego mu tłumaczyć.

- Zgoda. Przyjaciółmi - powiedziała cicho. Kiwnął głową, odwrócił się i wszedł do świetlicy. Została sama. Oparła się o ścianę i zastanawiała się, dlaczego wcześniej nie czuła, że jest tak koszmarnie zimno.

Serena raz po raz z niedowierzaniem spoglądała na zegarek. Było ledwie kilkanaście minut po ósmej, a ona już pomagała w przygotowaniach do warsztatów.

Mel poszła do sklepu po kawę, a Serena zaczęła rozstawiać krzesła.

Prawdę mówiąc, Mel coś za długo nie wracała. Zaniepokojona Serena wystawiła głowę za drzwi i zlustrowała okolicę. Wreszcie dostrzegła Mel, która ze złością kręciła głową i mówiła coś do faceta w szarym płaszczu.

Zimny dreszcz przebiegł Serenie po plecach. Już miała ruszyć na pomoc, kiedy nieoczekiwanie Mel uścisnęła nieznajomego i pobiegła w kierunku świetlicy.

Serena spoglądała zaskoczona za nieznajomym. Z tej odległości niewiele mogła dostrzec. Płaszcz był taki sam, wzrost też, ale tym razem nie miał szalika i czapki. Poza tym był odwrócony tyłem i dlatego nie potrafiła stwierdzić, czy to ten sam człowiek.



Zamknęła drzwi i wróciła do ustawiania krzeseł na warsztaty gitarowe, w które Mel wrobiła Jake'a. Znowu zerknęła na zegarek. Za pół godziny już tu będzie. Usiłowała opanować okropne, irytujące ściskanie w żołądku.

- Nie do wiary, że pan Singh nadal prowadzi sklep na rogu. Pamiętam, że jako dziecko trochę się go bałam, a teraz niemal wyskoczył zza lady, żeby mnie przywitać.

- Długo cię nie było. Mel milczała chwilę.

- Tak... Cóż, zagadałam się trochę w sklepie.

- A kim był ten drugi mężczyzna, z którym rozmawiałaś? Znajomy?

- Jaki mężczyzna? - Mel powoli wyciągała zakupy.

- Ten w szarym płaszczu.

- Ach, ten. Nikt. Po prostu pytał o drogę.

Serena uniosła brew, a Mel wzruszyła lekko ramionami i zajęła się parzeniem kawy.

Jake spoglądał na otaczające go twarze i niemal krzywił się z bólu. Najchętniej zwałby stąd, zostawiając w ścianie dziurę w kształcie swojej sylwetki.

Obiecał im pięć godzin warsztatów w tym tygodniu zostało zatem jeszcze cztery i pół.

To wszystko i tak było wystarczająco okropne, a świadomość, że Serena go obserwuje, oczywiście nie poprawiała sytuacji. Udawała, że wcale nie patrzy, ale było inaczej. Specjalnie spojrzał na nią właśnie wtedy, gdy wydawała się pochłonięta przeglądaniem papierów, a ona odwzajemniła spojrzenie.

No tak, byli idealnie zgrani!

Nie miał jednak więcej czasu na sprawdzanie uczuć Sereny. Na twarzach jego uczniów powoli pojawiał się znudzony wyraz. Pewnie zastanawiali się, co w ogóle tu robią. Wziął się w garść i poprowadził zajęcia, zaczynając od podstaw, czyli jak prawidłowo trzymać gitarę.

Do jej biurka dobiegał spokojny głos Jake'a objaśniającego podstawowe chwyt. Po początkowej apatii nie było ani śladu, wszyscy uczestnicy uważnie wsłuchiwali się w każde jego słowo.

Oprócz jednego. Młody chłopak rozpierał się w plastikowym krześle i ledwie udawał, że trąca struny. Szybko znalazła jego kartę. Max Black, lat czternaście Okazało się, że nie jest tu z własnej woli, ale z polecenia kuratora.

Spojrzała jeszcze raz na chłopaka i pomyślała, że to całkiem miła świadomość wiedzieć, że jest na świecie ktoś odporny na wdzięk Charlesa Jacobsa. Niemal chciała przybić mu piątkę, bp ona, mimo wszelkich starań, była daleka od obojętności.

Maksowi szybko przejadło się udawanie zainteresowania. Nagle wstał, rzucił gitarę, kopnął swoje krzesło i wyszedł.

Reszta grupy zamarła z oczami skierowanymi na Jake'a, oczekując chyba, że pobiegnie za nim. Ale nie zrobił tego. Odstawił gitarę na stojak, poprawił krzesło i kontynuował zajęcia.

Ze swojego miejsca przy biurku nadal widziała Maksa. Stał w cieniu jednego z bloków. I chociaż z tej odległości nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, z całej postaci emanował gniew.

Po kilku minutach Jake zakończył zajęcia i dzieciaki wybiegły na zewnątrz. Pomyślała, że pewnie chętnie napiłby się kawy i miała mu to nawet zaproponować, gdy nagle wyskoczył z budynku jak z procy. Zanim zdążyła zareagować, drzwi się otworzyły i Jake wrócił, prowadząc przed sobą Maksa.

- Cóż, Max, uszkodzenie gitary na szczęście da się naprawić, ale aby odpracować koszty, będziesz musiał pomagać tutaj przez resztę tygodnia.

Chłopak spojrzał na Jake'a zde gustowanym wzrokiem.

- Zapomnij o tym. Nie mam zamiaru zajmować się tymi głupotami. Możesz sobie tę gitarę.

- W porządku. Słyszałem od kuratora, że dostałeś ostatnie ostrzeżenie. Może powinienem w takim razie wezwać policję i zgłosić zniszczenie mienia.

Max wyrzucił z siebie potok słów, których nie powinien; nawet znać w tym wieku. Wyglądał, jakby skazano go na wiele lat ciężkich robót, a nie na tydzień zamykania.

Jake spokojnie wskazał mu stertę krzeseł w kącie pomieszczenia.

- Dla następnej grupy trzeba ustawić dwadzieścia krzeseł. Cztery rzędy po pięć. No i czas na kawę. Zajmij się tym, dobrze?

Chłopak niechętnie powłókł się w stronę kuchni.

- Wiesz, że napluje ci do kawy? - spytała szeptem Serena.

Zaśmiał się cicho.

- Dlatego tę, którą mi przyniesie, oddam jemu. Uśmiechnęli się do siebie. Z całych sił zmuszała się do tego, aby pamiętać, że to wróg. Człowiek, który zabrał jej serce, pobawił się nim chwilę, stwierdził, że wcale go nie chce, ale jednak go nie odda. Za każdym razem, kiedy okazywała słabość, przyzwalała jednocześnie, aby wciąż na nowo łamał je na kawałki!

Mimo to nie przestawała się uśmiechać.

Autobus minął most na Tamizie i Jake wreszcie rozluźnił się lekko. Przez całe lata ta rzeka była dla niego granicą. Fizyczną i psychiczną barierą, którą musiał pokonać, jeśli chciał uciec z tamtego świata.

Pamiętał pełne podziwu spojrzenie Sereny, kiedy poradził sobie z Maksem. Dlaczego czuł się wtedy taki zadowolony z siebie? Jej aprobata nic przecież dla niego nie znaczyła. Nie chciał jej, nie potrzebował!

Wysiadł na kolejnym przystanku. Jego dom był już w zasięgu wzroku. Wpadnie tam na chwilę, zmieni dzinsy na garnitur. Jego zbroja będzie kompletna.

Przy wejściu stał jakiś włóczęga z wysoko postawionym kołnierzem płaszczu i czapką naciągniętą na uszy. Dziwne, że ochrona jeszcze go nie przepędziła. Znalazł w kieszeni jakąś monetę i rzucił mu.

Drzwi budynku właśnie otwierały się z cichym szmerem, kiedy nagle krew w jego żyłach zamieniła się w lód.

- Tylko tyle? - usłyszał kpiące pytanie. - Mógłbyś się bardziej postarać dla tatusia, synku...

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jake odwrócił się szybko i z otwartymi ustami wpatrywał się we włóczęgę. Minęło dziesięć lat, od kiedy ostatni raz widział ojca, ale bolesne wspomnienia powróciły silną falą.

- Nie mam ci nic do powiedzenia. - Dałby sobie raczej obciąć palec niż nazwał tego faceta tatą.

Znowu zaczął otwierać drzwi.

- A ja mam. Dwa słowa: Serendipity Dove.... Jake zamarł i poczuł, jak wypełnia go gniew.

- Co z nią? - spytał szybko.

Obleśny uśmiech na twarzy ojca aż się prosił o to, by zetrzeć go jednym celnym ciosem. Jake raz uderzył ojca. Nie był z siebie wtedy dumny, w dodatku w niczym nie umniejszyło to ogromu krzywd, jakich doznał od ojca. A tatuś miał ciężką rękę... Wepchnął zaciśnięte pięści do kieszeni.

- Ptaszki śpiewają, że coś jest między wami.

- Twoje ptaszki mają przestarzałe informacje. Ta historia jest już nieaktualna.

- A szkoda... - Te słowa, tak obcesowo naruszające jego prywatność, sprawiły, że przestał panować nad sobą.

Gwałtownie ruszył w stronę ojca, przyparł go do muru.

- Poczekaj, Charlie, uspokój się...

- Nie nazywaj mnie tak! - warknął. - Mogę być Jakiem albo Charlesem, ale nigdy Charliem! - Przysunął twarz tak blisko, że czuł zapach tytoniu w oddechu ojca. - Powiem to jasno. Jeśli się do niej zbliżysz, nic ci nie pomoże!

- W porządku, w porządku! - Ojciec uniósł ręce w geście poddania. - Tak sobie tylko pomyślałem... - Jake odsunął się nieco, ale nie ufał mu za grosz. Wiedział, że to ten typ, który ustępuje na chwilę, by zaraz ponownie zaatakować. - Daj spokój, Charlie - ciągnął ojciec. - Jesteśmy do siebie podobni. Też lubię obejrzeć się za każdą ślicznotką.

- Pamiętam - mruknął. - I ślub z mamą wcale tego nie zmienił.

- Och, dogadaliśmy się jakoś z twoją matką...

- Chyba tak, że ona płacze w domu, a ty wychodzisz, gdzie chcesz i przegrywasz wszystkie pieniądze.

- Facet powinien mieć chwilę na piwko i zabawę... Ciekawe, czy naprawdę wierzył w te brednie.

- To były pieniądze matki! Zarobiła je, myjąc cudze podłogi, bo ty nie byłeś w stanie utrzymać się w żadnej pracy. Mel i ja omal nie skończyliśmy w przytułku, kiedy zniknąłeś ze wszystkimi oszczędnościami. Mama ledwie sobie ze wszystkim poradziła!

Ojciec nie odpowiadał. Uniósł głowę i wpatrywał się w złote litery na drzwiach wejściowych kamienicy.

- No, no, wygląda na to, że ci się powiodło...

- Na pewno nie dzięki tobie. A teraz zjeżdżaj!

- Chciałbym, tylko wiesz... krucho u mnie z forszą.

- A co? Straciłeś cały wdzięk i nie umiesz już podrywać rozwódek na Costa Bianca? - Ojciec wzruszył ramionami.

- Nie dam ci ani grosza!

- No, synu, nie chcę wiele. Dziesięć tysięcy i znikam, przyrzekam. Więcej mnie już nie zobaczysz.

- Nie wierzę ci. Twoje obietnice nigdy nie były wiele warte. Nic ode mnie nie dostaniesz!

Przyjacielska maska zniknęła z twarzy ojca i Jake mógł po raz kolejny zobaczyć jego prawdziwe oblicze: zepsute samolubne, bez żadnych zasad.

- Zgoda, odejdę. Ale pamiętaj, że to nie będzie moja wina, jeśli przytrafia ci się jakieś przykrości.

Ojciec poprawił kołnierz płaszcza i wolnym krokiem ruszył przed siebie.

- W niczym nie jestem do ciebie podobny! - krzyknął za nim Jake. - W niczym!

Dopiero po chwili wszedł do środka. W tej chwili był bardziej zły na siebie niż na ojca. Szczerze mówiąc, był wściekły, bo wiedział, że kłamał.

Bila odbiła się i wpadła do luzu.

- Jest! - krzyknął Max triumfalnie.

Następne uderzenie nie było już tak udane i bila zatrzymała się kilka centymetrów od luzu. Jake sięgnął po kij, podszedł do stołu i powiedział:

- Teraz, chłopcze, pokażę ci, jak to się robi.

Uśmiechnęła się lekko i pokręciła głową. Dlaczego faceci byle głupstwo traktowali jak wyzwanie i parli do zwycięstwa?

Musiała jednak przyznać, że Jake spędzał z Makssem dużo czasu. Pewnie nawet więcej niż ktokolwiek inny. Widać było, że ten kontakt staje się bardzo ważny dla chłopaka. Nadal czasami pyskował, ale już kilka razy przyszedł rano pomagać przed warsztatami. A teraz był wyraźnie zadowolony, że może spędzić jeszcze chwilę ze swoim idolem.

Co gorsza, ona wcale nie była lepsza od Maksa. Też zerwała się rano, żeby spędzić z Jakiem więcej czasu. I została teraz, chociaż wcale nie musiała. Z tego samego powodu. Żalosne.

Znowu usłyszała stukot bili, a po chwili radosny okrzyk Jake'a obwieścił, że zwycięstwo przeszło Maksowi koło nosa.

- Przegrany robi kawę, taka była umowa! Max złożył bile i zebrał brudne kubki.

- To już ostatni dzień w tym tygodniu... - westchnął, wchodząc do kuchni razem z nią. - Szkoda, że ferie się kończą.

Zaśmiała się i właśnie miała coś odpowiedzieć, ale zadzwonił jej telefon.

- Czuję się jak w piekle - usłyszała zachrypnięty głos Cassie. - I wiem, co mówię, bo byłam na kursie teologicznym. Nie dam rady przyjść dzisiaj. Masz tam kogoś do pomocy, prawda?

- Oczywiście, dam sobie radę - uspokoiła ją pospiesznie. - Leż w łóżku i dbaj o siebie.

Szybko się rozłączyła, bo bała się, że jeśli przyjaciółka zacznie wypytywać o szczegóły, zorientuje się, jak to naprawdę wygląda. Zaraz, a może by...

- Jake, czy mógłbyś tu zostać jeszcze chwilę, dopóki nie wrócą Steve i Mel? Oczywiście, jeśli to nie problem.

- Nie ma sprawy. Wykonam tylko dwa telefony, żeby odwołać poranne spotkanie. Ale pod jednym warunkiem...

- Nie będę z tobą grała w bilard, jeśli o to chodzi - zastrzegła od razu.

- Nie chodzi o bilard - zaśmiał się. - Tylko o kolację. Znieruchomiała i spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie sędzę, aby to był dobry pomysł...

- Czyżby jedzenie wyszło już z mody? - Uśmiechał się do niej szeroko.

- Wiesz, dlaczego... - odpowiedziała sztywno. Nie zamierzał ustąpić.

- No więc zwykłe drugie śniadanie. Jak w szkole - kuśił. - Weźmiemy kolorowe pojemniki na kanapki i zjemy na ławce. Obiecuję, że będą naprawdę niesmaczne.

Nic takiego. Po prostu zjedzą razem kanapki. To się zdarza między przyjaciółmi czy kolegami z pracy.

Właśnie zaczęły się warsztaty wokalne. Rick, organista z parafii Steve'a, uczył sporą grupę śpiewu gospel. Robili niezłe postępy, zwłaszcza chór. Wokalista miał pewne problemy, ale Rick cierpliwie poprawiał wszystkie błędy.

Serena siedziała przy biurku i z przyjemnością słuchała znanych z dzieciństwa piosenek. Właśnie miała zanucić razem z nimi, gdy nagle tuż za nią rozległ się inny głos. Niski, mocny, czysty i dźwięczny.

Odwróciła głowę i zamrugała oszołomiona. Głosy z chóru milkły jeden po drugim, ale ten jeden wystarczał, aby wypełnić dźwiękiem całe pomieszczenie.

- Max, gdzie nauczyłeś się tak śpiewać? - spytała zdumiona, kiedy już zaległa cisza.

Chłopak umilkł, a jego twarz poczerwieniała. Wzruszył ramionami i szybko wrócił do zamykania.

- Jesteś pewien, że niczego nie potrzebujesz, tato? - spytała. - Kawa? Herbata?

- Nie, w porządku. Chcę po prostu posiedzieć i pooddychać świeżym powietrzem.

Serena wpatrywała się w ojca rozpartego na krześle ogrodowym. Miała nadzieję, że nie dostrzegł w jej oczach troski. Kilka dni temu wrócił z kuracji odwykowej i od tego czasu głównie siedział w ogrodzie. Wcześniej przyzwyczał ją do takich ekscesów, że ten spokój bardzo ją niepokoił.

- Idź już. Masz pewnie wiele do zrobienia - odezwał się, nie odwracając głowy.

Weszła do domu, przejrzała wiadomości na swojej skrzynce pocztowej i z całych sił powstrzymywała się, aby nie zajrzeć na stronę firmy Jake'a. Dawno powinna usunąć ten adres z zakładek. Minęły dwa tygodnie, odkąd zjedli razem drugie śniadanie na ławce przed świetlicą. Nie dostała w końcu tak okropnej kanapki, jak obiecywał. Postarał się o świeże bułki z szynką i puszkę lemoniady. Siedzieli, jedli, wygrzewali się w bladym zimowym słońcu, wokół nich szalały



dzieciaki, a oni prowadzili niespieszną rozmowę. Musiała przyznać, że to było całkiem miłe.

Zaraz potem zaczęła się szkoła, nie było już porannych warsztatów gitarowych i Serena nie miała pojęcia, czy jeszcze kiedyś zobaczy Jake'a. Ostatecznie sama poprosiła, żeby nie dzwonił. Uważała przecież, że nie było sensu ciągnąć tej znajomości. Niestety jakaś głupia i naiwna część jej duszy marzyła, by Jake zignorował jej życzenie.

Dzwonek do drzwi przerwał te rozmyślania. Zeszła na dół, ale gosposia zdążyła już otworzyć. Stała właśnie w progu, zasłaniając swoją rozłożystą sylwetką postać gościa i rozmawiała z nim. Po chwili odwróciła się i powiedziała:

- Ktoś chce się z panią zobaczyć. Mówi, że nazywa się Charles Jacobs.

Jej serce fiknęło koziółka i z trudem wróciło na miejsce. Podbiegła do drzwi i zobaczyła w nich mężczyznę, który wyglądał niemal jak Jake, tylko dwadzieścia lat starszy. Jego ojciec? Podobieństwo było wprost uderzające. Nawet uśmiechał się tak samo.

- Witam, panno Dove - odezwał się pierwszy. - Czy może mi pani poświęcić kilka minut?

- Hm, tak, oczywiście. - Za plecami słyszała, że gosposia wróciła do odkurzania, otworzyła więc szerzej drzwi i wprowadziła gościa do salonu.

Szedł tuż za nią. Tak blisko, że miała ochotę przyspieszyć kroku. Sama zajęła fotel, a jemu wskazała kanapę.

Usadowił się wygodnie na poduszkach i założył nogę na nogę.

Na jego twarzy znowu pojawił się ten uśmiezek. Był podobny do uśmiechu Jake'a, ale nie identyczny, choć na razie nie potrafiła jeszcze powiedzieć, na czym polega różnica.

- W czym mogę panu pomóc? - spytała grzecznie. Rozparł się wygodniej i rozejrzał wokół. Potem pochylił się lekko do przodu i zaczął mówić:

- Tak, wygląda na to, że mogłaby mi pani pomóc. Z całą pewnością. Wiem, że widuje się pani z moim synem. Myślę, że kilka brukowców nieźle zapłaciłoby mi za tę informację. Jednak potrafiłbym zapomnieć o wszystkim, w zamian za odpowiednie honorarium, rzecz jasna.

- Przykro mi, ale traci pan czas. Jake i ja spotykaliśmy się krótko i zerwaliśmy kilka tygodni temu. Ciężko to nazwać najświeższymi wiadomościami. - Wstała i szeroko otworzyła drzwi salonu. - Chyba więc już czas na pana.

Nawet nie udawał, że zamierza wstać.

- Nie tak szybko - powiedział dziwnym tonem. - Nawet jeśli nie ma to znaczenia dla pani, może mieć dla Jake'a.

- Nie rozumiem, dlaczego?

- Jeśli się rozgadam i wspomnę o kilku historiach z jego młodości, może mieć kłopoty. Myślę, że jego utytułowani klienci nie będą zachwyceni, kiedy dowiedzą się o areszcie za włamanie, sprawie za posiadanie narkotyków... Pewnie im o tym nie wspomniał.

- Nie wierzę w ani jedno słowo! - zawołała, patrząc na niego z obrzydzeniem.

- Cóż, gazety pewnie zaczną grzebać w protokołach policyjnych, zeznaniach. Nawet jeśli wyjaśni się te nieporozumienia, to wie pani, jak to jest z plotkami. Są jak błoto, przylegają i trudno się ich pozbyć. Sama taka pogłoska mogłaby pewnie wyrządzić mu nieźle szkody.

Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się na jawie. Ten facet był nieprzeciętnym łajdakiem, gotowym sprzedać własnego syna, jednak nie wolno go lekceważyć. Informacje tego typu rzeczywiście mogły wpłynąć na karierę Jake'a. Wiedziała, że firma jest dla niego wszystkim. To dzięki pracy zaszedł tak wysoko. Nie mogła pozwolić, żeby ten podejrzany typ wszystko zniweczył.

- Jaka kwota zamknie ci usta? - spytała obcesowo. Nie widziała powodów, żeby odzywać się do niego grzeczniej.

- Dwadzieścia tysięcy.

Zamrugnęła gwałtownie. Facet był obrzydliwie śliski, ale chyba nie odrobił lekcji. Szczerze mówiąc, spodziewała się usłyszeć znacznie większą sumę. Miała upoważnienia do kilku kont ojca, bez problemów zdobędzie te pieniądze. Pewnie nie wiedział, że mógł żądać o wiele więcej.

Podeszła niespiesznie do okna i wyjrzała do ogrodu. Ojciec siedział tam, gdzie go zostawiła. Czy miała prawo wziąć jego pieniądze i dać je temu łajdakowi? Przeszyło ją poczucie winy.

Facet nie spuszczał z niej wzroku, czuła to. Obróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Były tak samo niebieskie jak oczy jego dzieci, ale pozbawione ciepła i ludzkich uczuć.

Uśmiechnął się tak, że poczuła skurcz w żołądku.

- No, sama przyznaj, że to nie Za wiele jak za człowieka, którego kochasz...

Zbladła gwałtownie.

- Już się nie widzimy - odezwała się szybko, ale było za późno.

Wiedział, co czuła do Jake'a. Zdradził ją strach w oczach.

Zerknęła na niego i jej podejrzenia się potwierdziły. Ze wstrętnym uśmiechem rozpierał się na jej sofie. Właśnie odkrył, że uzyskał nad nią przewagę i zamierzał to wykorzystać.

- Przypuszczam, że wolisz gotówkę - mówiła, rozpaczliwie zastanawiając się, jak postąpić. - Nie mam w domu takiej sumy. Zdobycie jej zajmie mi trochę czasu. Jak cię znajdę?

- Mądra dziewczynka - pochwalił. - Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia. Dam ci mój numer.

Napisał coś na odwrocie kartki, która wyglądała jak wymięty bilet autobusowy, i podszedł do niej. Stał stanowczo zbyt blisko, ale nie mogła nic zrobić, za plecami miała tylko okno.

Nagle poczuła, że dotyka kosmyka jej włosów. Na policzku poczuła kwaśny odór piwa i tanich papierosów. Odchyliła głowę, żeby być jak najdalej od niego.

- Mój syn to głupiec - usłyszała chrapliwy głos. - Nie powinien być pozwolić ci odejść. Ale mniejsza o to. Może chciałabyś zamienić go na starszy, bardziej stylowy i doświadczony model?

Poczuła śliski pocałunek.

- Wynoś się! - krzyknęła z furją. - Nie porównuj się z Jakiem! W niczym cię nie przypomina. Jest dobry, łagodny i uczciwy!

- Taką reputację ma teraz, ale poczekaj, aż się za to wezmę. To będzie jeden z najbrudniejszych procesów, o jakich słyszały media. Jeśli go kochasz, płąć.

- Nie - powiedziała nagle.

- Co takiego?

Na jego twarzy pojawił się wyraz czystej wściekłości.

- Odrzucam twoją ofertę. - Zaśmiała się krótko. - I wiesz co? Jestem pewna, że Jake postąpi tak samo. Może nawet już to zrobił. - Błysk złości w jego oczach upewnił ją, że trafiła celnie. - Dlatego nie zamierzam grać w tę grę. Będziesz musiał wypróbować swoje żalotne triki na kimś innym...

Rzucił się w jej kierunku tak gwałtownie, że ledwie zdążyła odskoczyć. Dogonił ją jednak, chwycił za szyję i włosy i przytrzymał tak mocno, że prawie nie mogła oddychać. Widziała nad sobą wykrzywioną wściekłością twarz, czuła, jak silne palce zaciskają się na jej gardle i rozpaczliwie walczyła o każdy oddech.

Nagle jednak jego uścisk zelżał. Puścił ją tak gwałtownie, że upadła na podłogę.

- Ręce precz od mojej córki albo rozwalę ci łeb! - usłyszała głos Mike'a.

Chyba po raz pierwszy dziękowała losowi, że jej ojciec jest wielkim i silnym facetem. Złapał Jacobsa za ramiona i odciągnął od niej.

Ledwie zauważyła, jak wymknął się z pokoju. Podniosła się z podłogi i patrzyła na ojca, który wydawał jej się teraz równie silny jak wtedy, kiedy była dzieckiem.

Przytulili się mocno na kilka długich chwil, a potem odsunął jej włosy z twarzy i wpatrywał się w nią z czułością.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, tato.

- Nie ma sprawy, córeczko.

Musiał o tym wiedzieć. Jeśli własny ojciec zamierzał go sprzedać, powinien się o tym dowiedzieć. Stała przed masywnymi drzwiami jego kamienicy i po raz kolejny zastanawiała się, czy dobrze robi.

Poczuła skurcz w żołądku. Wiedziała, że rozwścieczyła starego Jacobsa. A jeśli naraziła w ten sposób karierę Jake'a? Bała się jego reakcji, ale wiedziała, że to nie jedyny powód tego zdenerwowania. Tak bardzo za nim tęskniła. Chciała go zobaczyć, choć nie miało to żadnego sensu.

Szybko nacisnęła dzwonek. Musiała to zrobić, zanim stchórzy i ucieknie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jake siedział nad stertą dokumentów i przeglądał zestawienia z ostatniego kwartału, kiedy usłyszał dzwonek. Z głową pełną liczb podniósł się ze starego skórzanego fotela i podszedł do drzwi.

Spojrzał na niewielki ekran i nie pytał nawet o nazwisko niespodziewanego gościa. Zobaczył parę wielkich brązowych oczu i wszystkie cyfry wyleciały mu z głowy.

Nic nie mówiła. Nie musiała. Jej oczy mówiły wystarczająco dużo.

Wpuść mnie, wyczytał w nich.

Tak bardzo chciałby to zrobić. Ale jeśli teraz naciśnie przycisk domofonu, przekreśli całe tygodnie walki, kiedy z najwyższym trudem powstrzymywał się od jakiegokolwiek kontaktu z nią. Jeśli ją wpuści, narazi na cierpienie nie tylko siebie, ale przede wszystkim ją. A tego nie chciałby za nic na świecie.

Stał przez chwilę przed ekranem, targany wątpliwościami. W końcu uniósł wzrok, napotkał wyraz jej oczu i nacisnął guzik.

Otworzył drzwi do mieszkania, wyszedł na korytarz i czekał na nią.

Nie padły żadne grzecznościowe formułki. Oboje nie mieli ochoty ich wypowiadać. Przez chwilę milczeli, jakby nie chcieli zakłócić tego, co pulsowało w powietrzu między nimi.

- Musimy porozmawiać, Jake... Uśmiechnął się i sięgnął po jej dłoń.

- Musimy?

Kiwnęła głową.

- Nie będziesz się tak uśmiechał, kiedy usłyszysz, co mam do powiedzenia.

Weszli do środka. Serena usiadła na oparciu fotela, nawet nie zdejmując płaszcza. Patrzyła na niego dziwnym wzrokiem, jakby prosiła o wybaczenie. Zastanawiał się, co takiego chciała mu powiedzieć.

Tylko jedna myśl przychodziła mu do głowy - znalazła sobie kogoś. Ta myśl sprawiła, że żołądek skręcał mu się z bólu, a ręce zaciskały w pięści. Był wściekły, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma prawa robić jej wyrzutów. Sam się o to prosił...

Pochyliła się lekko ku niemu, włosy spadły jej na twarz.

- Miałam dziś wizytę. To był twój ojciec. Tak, Charles Jacobs starszy - dodała, widząc jego zaskoczone spojrzenie. - Szczerze mówiąc, niezbyt budujące przeżycie. - Drżącą ręką poprawiła opadające włosy. - Myślę, że popełniłam okropny błąd. Rozzłościłam go - wyznała z bólem w głosie.

Nie odezwał się, wpatrzony w ciemnoczerwoną pręgę na jej szyi. Skoczył przez pokój i w jednej chwili był przy niej. Jego palce delikatnie badały bolesny ślad. Uchyliła się zmieszana.

Krew zaczęła mu pulsować w żyłach z taką mocą, że ledwie widział.

- On ci to zrobił, tak? - spytał, z trudem hamując wściekłość.

Przytaknęła, a wtedy w jego oczach pojawił się groźny błysk.

- No bo ja go rozzłościłam - próbowała wytłumaczyć. Wyprostował się gwałtownie i zrobił kilka kroków po pokoju. Bez celu, tak tylko, żeby dać ujście rozpierającej go energii.

- On właśnie tak robi - odezwał się nagle stłumionym głosem. - Znam ten sposób działania. Zachowuje się jak brutal, a potem sprawia, że to ty czujesz się winna. Tak manipuluje, że nie jesteś już pewna motywów swojego postępowania. Zaczynasz wątpić w swoje racje i bierzesz na siebie część winy. On jest jak trucizna! - Przestał krążyć po pokoju. Usiadł na niskim stoliku naprzeciwko niej. Tak blisko, że ich kolana się stykały.

- To nie była twoja wina! - podkreślił z mocą. - W najmniejszym stopniu!  
- Wyciągnął rękę i uniósł jej głowę. - Pamiętaj, nie możesz tak myśleć! - Trochę niepewnie potaknęła. - Wiedziałem, jaki on jest, ale nie śniło mi się... Nie przypuszczałem, że posunie się do tego... Nie masz nawet pojęcia, jak mi przykro!

- Och, to nie twoja wina! Naprawdę myślę, że w jakimś stopniu zasłużyłam sobie na ten ślad - dotknęła lekko pręgi na szyi.

Odwrócił wzrok od jej wielkich oczu i tępo wpatrywał się w podłogę. Nic nie rozumiała, ale w sumie nie ma się czemu dziwić. Jemu samemu zajęło przecież całe lata, zanim przejrzał matactwa ojca i zrozumiał, że wszyscy tkwią w chorym układzie, a ojciec tylko pociąga za sznurki. Charles Jacobs starszy nie znał innego sposobu na życie - wysysał każdego, kogo spotkał na swojej drodze, potem porzucał i szukał nowej ofiary.

Kiedy odezwał się znowu, jego głos był tak beznamiętny, że aż trochę straszny.

- Mógłbym go zabić.

Nigdy jeszcze nie czuł tak wszechogarniającej nienawiści. Za każdym razem sądził, że już nie może bardziej nienawidzić ojca, ale kolejne spotkanie jeszcze podsycalo jego wściekłość i niechęć.

- Znajdę go - wychrypiął zduszonym głosem. - I... Nie wiem, co zrobię, ale nie ujdzie mu to... - Nie chciał dalej mówić. Wolał działać. Przeszedł szybko do przedpokoju, sięgnął po kurtkę i zwrócił się jeszcze do Sereny: - Ty zostaniesz tutaj. Nie ośmieli się tu przyjść.

Wciągał rękawy kurtki, szukał wzrokiem telefonu i kluczyków do samochodu. Musi jak najszybciej dorwać tę kreaturę. Skoro tatuś nie zmienił swoich nawyków, to nadal pewnie przesiaduje w tych samych barach i lokalach bukmacherskich. Znajdzie go, to nie powinno być trudne.

- Jake, poczekaj! - zatrzymała go już w drzwiach. - Posłuchaj mnie! Jeśli wyjdiesz teraz i doprowadzisz do awantury, tylko pogorszysz sytuację! Nawet nie wiesz, co się stało. Nie zdążyłam nic ci powiedzieć.

Miała rację. Nawet nie pozwolił jej mówić. Zobaczył, że ktoś ją skrzywdził, i wściekłość zupełnie go zaślepiła.

Złapała go za rękaw i delikatnie wciągnęła do środka.



- Przepraszam - odezwał się cicho. - Rzeczywiście powinienem cię wysłuchać. Napijmy się czegoś i opowiedz co się stało.

Zostawił ją w salonie, a sam przeszedł do kuchni i po chwili wrócił z dwoma kieliszkami czerwonego wina.

Zdażyła zdjąć płaszcz i usiąść w samym rogu wielkiej kanapy. Wzięła od niego kieliszek i nawet nie próbując postawiła na stoliku obok.

Chciał coś powiedzieć, ale powstrzymała go gestem.

- Poczekaj. Po prostu pozwól mi mówić. - Kiwnął głową i usiadł obok niej. Patrzyła przed siebie i zaczęła matowym głosem: - Przyszłam tu, bo uznałam, że muszę cię ostrzec. Twój ojciec jest gotów zniszczyć twoją karierę. Był u mnie i chciał pieniędzy za milczenie.

- Co on chce sprzedać? - zdziwił się. - Mówiłem mu, że już się z sobą nie spotykamy.

- Nie - pokręciła wolno głową. - Wie, że to nie będzie żadna sensacja. Chce sprzedać jakieś historie z twojej młodości. Coś związanego z policją. Powiedział, że jeśli to przedostanie się do prasy, zniszczy twoją karierę. Byłam już gotowa mu zapłacić, ale... No, po prostu nie mogłam. Teraz więc pewnie będzie próbował sprzedać te informacje gdzie indziej. Tak mi przykro, Jake. Wiem, że powinnam była go powstrzymać.

Przerwała i patrzyła na niego niepewnie.

- To nie tak. Nie byłaś w stanie go powstrzymać. Najpierw chciał coś wyciągnąć ode mnie, ale go przegnałem. Gdybyś dała mu pieniądze, wkrótce znowu by przyszedł.

- Ale co z twoją firmą? Nie boisz się, że to odstraszy klientów?

- Nawet jeśli spowoduje jakieś zamieszanie, to nie tak wielkie, jak myśli mój ojciec. Jest cwany, wymyślił kłamstwo, jednak oparte na ziarnku prawdy. Kiedy byłem dzieciakiem, aresztowano mnie i oskarżono o włamanie. Sprawę wkrótce zamknięto, szybko zostałem zwolniony, bo chociaż się przyznałem, policja uznała, że kogoś kryję. - Przeczesał włosy palcami i wyciągnął ramię na

oparciu kanapy. - Jednego tylko nie rozumiem, dlaczego przyszedł z tym do ciebie?

- Próbował szczęścia - powiedziała wymijająco. - Ty go odprawiłeś, więc przyszedł do mnie.

- Przecież nie jesteśmy nawet parą.

- Twój ojciec prawdopodobnie uświadomił sobie, że ja... - Zamilkła na chwilę. Jakaś część jego serca rozpaczliwie chciała usłyszeć te słowa, ale inna panicznie się ich bała. - Że zależy mi na tobie - powiedziała w końcu, choć sama wiedziała, jak niezręcznie to zabrzmiało.

Oboje siedzieli w milczeniu i popijali wino. Jakby żadne sensowne słowa nie przychodziły im do głowy, a cisza przynosiła ukojenie.

- Sereno...

Zarumieniła się i wiedział, że jej serce bije równie mocno, jak jego. Odstawił kieliszek i przysunął się do niej.

- A gdybym powiedział, że bardzo mi ciebie brakuje?

Jego usta były coraz bliżej. Zadrżała, pełna oczekiwania. Wiedziała, że to zły pomysł, bo potem jeszcze trudniej będzie jej odejść. Niestety nie miała siły się odsunąć. Ujął dłońmi jej twarz i wtedy już było za późno.

Ten pocałunek był ciepły, miękki i upajający. Odpowiadała mu z pragnieniem, którego nie chciała już ukrywać.

W tej chwili nie miało znaczenia, że potem będzie tego żałować. Zgoda, to chyba najgłupszy pomysł pod słońcem i tylko skomplikuje i tak niełatwą sytuację. Jednak potrzebowała tego. Chciała poczuć smak jego ust, ciepło jego ciała. Wiedziała, że on pragnie tego samego. Oboje byli bezradni wobec tego szaleństwa i to przyciągało ich do siebie jeszcze mocniej.

Być może to była jej ostatnia szansa. Kto wie, czy jeszcze kiedyś będzie trzymać go w ramionach? Nie miała odwagi powiedzieć mu o swoim uczuciu, ale mogła wyrazić je inaczej.

Jej usta oddawały słodkie pieszczoty, a stęsknione palce delikatnie badały rysy jego twarzy i przesuwały się na kark i ramiona, starając się na zawsze zapamiętać ich kształt.

Nagle z jego piersi wyrwał się głęboki jęk. Ich ciała splotły się w namiętym uścisku, jego ręce błądziły pod jej bluzką i gładziły delikatną skórę. Miała wrażenie, że cała płonie. Krew krążyła jej w żyłach w szalonym tempie, a przed oczami pojawiały się wszystkie kolory tęczy.

Z całego serca pragnęła kochać się z nim, ale wiedziała że nie przeżyłaby koszmaru następnego poranka. Powiedział jej przecież jasno, że nigdy nie będzie mogła mieć go na zawsze, a nie wyobrażała sobie nikogo innego.

Okrywał subtelnymi pocałunkami całą jej twarz, a serce Sereny szalało z bólu i rozkoszy.

Nawet kiedy przestał, czuła tuż obok rozkoszne ciepło jego ciała.

Otworzyła oczy i skupiła wzrok na nim. Źrenice miał tak rozszerzone, że prawie przysłaniały błękitną tęczę. Pojawił się w nich jakiś dziwny wyraz, ale nie wiedziała, co oznacza. Czy to było zdziwienie? Nie, poczucie winy. Wyglądał jak młody chłopak, który właśnie coś przeszkrobał.

- Płaczesz... - powiedział cicho.

Dotknęła palcami policzków. Tak, rzeczywiście płakała.

Jej ciało błagało o więcej pieszczot, o jeszcze jeden pocałunek, ale wiedziała, że to nie ma sensu. Zawsze, będzie chciała jeszcze więcej. Lepiej skończyć to już teraz.

Wysunęła się z jego objęć i usiadła w bezpiecznej odległości.

- To niczego nie zmienia, prawda? - spytał bezbarwnym głosem. - Nadal każde z nas chce od życia czegoś innego. Ty pragniesz mieć męża i rodzinę, a ja nie. Ani trochę.

Pewnie w tym momencie powinna się pożegnać, włożyć płaszcz, uśmiechnąć się i wyjść.

Nie zdobyła się na to. Jeśli los odbierał jej coś najcenniejszego, chciała przynajmniej zrozumieć, dlaczego.

- Dlaczego? - spytała szeptem. - Uważam, że jesteś dla mnie stworzony! Położył jej palec na ustach.

- Cii... Nie mów tak. Nie jestem doskonały, uwierz mi. Widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć.

- Nie. - Pokręciła głową. - Może na początku tak było, ale teraz już nie. Przez te ostatnie tygodnie zobaczyłam prawdziwego Jake'a, którego wcześniej nawet nie dostrzegałam. Wrażliwego mężczyznę, który poświęca swój czas odrzuconym dzieciakom, zajmuje się chłopcem, który w innych wzbudziłby tylko strach lub irytację, opiekuje się młodszą siostrą i zawsze jest przy niej. Jake'a pełnego twórczej pasji, wyobraźni i współczucia. - Głos zupełnie jej się załamał, ale jakoś zdołała dokończyć: - Mężczyznę, który narażając dorobek swojego życia, gotów był mnie bronić. Zawładnąłeś moim sercem, Jake - wyszeptała.

Bała się spojrzeć mu w oczy, bo wiedziała, że zabrnęła za daleko. Uniosła głowę i zrobiła najodważniejszą rzecz w swoim życiu.

- Kocham cię - wyznała.

Na chwilę wstrzymał oddech.

- A ja... dawno się tak nie czułem. - Jego głos był niski i łamał się ze wzruszenia. Przez chwilę żyła nadzieją, ale następne słowa szybko ją otrzeźwiły: - Jednak nie sprawdzam się w trwałych związkach.

- Już drugi raz mi to powtarzasz - przypomniała. - Może mi o niej opowiesz?

Przez chwilę nic nie mówił. Potem wstał, wyszedł do kuchni i wrócił z butelką wina, ale widziała, że to był tylko pretekst.

Chciał być przez chwilę sam, żeby zebrać myśli i opanować emocje. Miał jednak mocno zaciśnięte szczęki, co świadczyło o wzburzeniu.

Podał jej kieliszek i usiadł naprzeciwko.

- Nazywała się Chantelle. Jej rodzina sprowadziła się na nasze osiedle, gdy miałem siedemnaście lat. Była najładniejszą dziewczyną, jaką znałem. Zbierałem się dwa lata, zanim zaproponowałem jej randkę. Ku mojemu zdziwieniu zgodziła się. Rok później zaproponowałem jej małżeństwo i znowu się zgodziła. Byłem wtedy pewien, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Czuła się, jakby ktoś wbijał jej nóż w serce, ale musiała wiedzieć.

- Co się stało?

- Dwa miesiące przed ślubem nagle coś zaczęło się psuć. Coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie. Zerwaliśmy. Wszyscy mówili wtedy, że byliśmy za młodzi, ale ja wiem, że chodziło o coś innego. To przeze mnie - wyznał z bólem w głosie. - Nie byłem w stanie dać jej wsparcia i miłości, jakich oczekiwała. - Jednym haustem opróżnił kieliszek. - Najgorsze było to - ciągnął matowym głosem - że naprawdę poczułem wtedy ogromną ulgę. Wygląda na to, że jednak jestem bardzo podobny do ojca.

- I potem nie było już nikogo? - spytała zaskoczona.

- Cóż, spotykałem się z różnymi kobietami, umawiałem się na randki, ale tak naprawdę całą moją energię pochłaniała praca. Kobiety były tylko miłym, niezbyt absorbującym dodatkiem. I chcę, żeby tak zostało. Jestem szczęśliwy i nie zamierzam tego zmieniać.

Kłamca. Słyszała ból w jego głosie, kiedy opowiadał o swoim zranionym sercu. Udawał obojętność, bo tak było łatwiej.

- Tak to wygląda - odezwał się znowu. - Oboje chcemy czegoś innego. Nie mogę ci obiecać wspólnej przyszłości. - Przerwał na chwilę i spojrzał na nią. - Bardzo cię lubię, Sereno... Bardzo... Ale ty chcesz dostać wszystko albo nic, prawda?

Nie odpowiedziała, nie mogła. Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

Wstał i podszedł do okna.

- Nie ma dnia, żebym o tobie nie myślał - powiedział, patrząc na migające światłami miasto. - Jestem pewien, że bylibyśmy szczęśliwi... przez jakiś czas. - Mówił tak cicho, że prawie go nie słyszała. - Spróbujmy... Wprowadź się do mnie - poprosił.

- Słucham? - Serena uznała, że musiała się przesłyszeć. Przecież Jake nie mógł tego powiedzieć.

- Wprowadź się tu i zamieszkajmy razem. Chcę, żebyśmy prowadzili zwyczajne życie. Odświeżne wyjścia do restauracji czy do teatru już mi nie wystarczają, chcę oglądać z tobą telewizję, przygotowywać posiłki. Będziemy sobie opowiadać, jak minął nam dzień. Chcę dzielić z tobą życie.

- Na trochę...

- Tak, na trochę - potwierdził poważnie. - To najlepsza oferta, jaką mogę ci złożyć.

Dlaczego to musiało tak bardzo boleć? Wiedziała, jak bardzo się starał. Wiedziała, że dla niego to i tak ogromny krok naprzód. Jednak to nadal nie było życie, jakiego pragnęła.

- Nie mogłabym. - Pokręciła bezradnie głową. - Taka niepewność byłaby przerażająca. Ciągle bym się bała, że pewnego dnia znudzisz się mną. I co wtedy? Wrócę do domu i zastanę swoje rzeczy spakowane w kartony?

Poruszył się gwałtownie.

- Wiesz, że nigdy bym tak nie zrobił!

- Nie chciałam cię obrazić. Po prostu szkoda mi czasu na związek, o którym z góry wiadomo, że nie przetrwa. Miałabym nieustannie odliczać dni do końca?

- Małżeństwo też nie daje żadnej gwarancji - bronił się. - Dobrze wiesz, jak wysoki procent się rozwodzi.

- Zgoda, ale oni chociaż na początku wierzą, że im się uda. Wchodzą w związek z takimi samymi celami i pragnieniami. A u nas by tak nie było. Ja chcę mieć szczęśliwy dom, z dziećmi, psem i lekkim bałaganem, z którym będę stale

walczyła. A ty masz elegancki apartament, wygodne życie i nie chcesz tego zmieniać, prawda?

Pokręcił głową.

- Nie potrafiłabym tak żyć, Jake - przyznała ze smutkiem. - Wiem, czego chcę od życia. Taki tymczasowy związek to nie dla mnie.

Patrzył na nią z niezwykłym spokojem. Na jego twarzy nie poruszył się żaden mięsień. Milczał, bo i tak nie było nic do powiedzenia.

Opuściła głowę i zaczęła płakać.

- To nie miałoby sensu - powiedziała jeszcze. - Zawsze ciągnęlibyśmy w przeciwnych kierunkach.

- Innymi słowy mówisz, że marnuję twój czas!

W jego głosie usłyszała tłumiony gniew. To dobrze. Z tym umiała sobie poradzić. Bała się, że jeśli zacząłby ją znówu całować, nie miałaby już siły, aby mu odmówić. A przecież musiała być silna.

I nagle zrozumiała, dlaczego Jake nigdy nie będzie w stanie dać jej tego, czego pragnęła. Za bardzo skupiał się na obawie, że jest taki sam jak jego ojciec. Był jak dziecko, które ciągle chce jeździć na rowerku z bocznymi kółkami, bo boi się przewrócić.

Pewnie nawet sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

Sięgnęła po płaszcz i zaczęła zapinać guziki.

- Chyba masz rację - przyznała. - Tracimy czas. To smutne, ale prawdziwe.

Zdrętwiałe palce z trudem znalazły ostatni guzik.

- Co zamierzasz zrobić z ojcem?

Podszedł do drzwi balkonowych i spojrzał przez szybę na panoramę miasta.

- Jeszcze nie wiem. Chyba powinienem pójść na policję. On nie może nachodzić ludzi i żądać od nich pieniędzy. Muszę coś z tym zrobić.

Podeszła i pocałowała go w ramię. Wiedziała, że się nie odwróci.

- Żegnaj, Jake - powiedziała cicho. - Nigdy cię nie zapomnę.

Obróciła klucz w zamku i pchnęła drzwi. W całym domu panowała cisza. Nigdzie nie paliło się światło.

- Tato! - zawołała, upuszczając torbę na podłogę.

Cisza.

Zrzuciła płaszcz na najbliższe krzesło i pobiegła do kuchni. Nikogo nie było. Zimny czajnik stał na kuchence.

Przeskakując po dwa schodki, pędziła na górę i zajrzała do sypialni. Pusto.

Po kolei przebiegła przez wszystkie pokoje, w każdym z nich zapalając światło. Po chwili dom świecił jak choinka, ale jej daleko było do świątecznego nastroju.

Jeśli ojciec wpadł w pijacki ciąg, mógł być wszędzie. Pewnie zjawi się za kilka dni, skruszony i skacowany.

Nie miała już siły płakać. Wszystkie łzy wylała, wracając od Jake'a.

Zeszła na dół, podniosła torbę, odwiesiła płaszcz i poszła zrobić sobie herbatę. Cóż innego jej pozostało? Czekać na rozwój wydarzeń.

I wtedy zobaczyła światło zapalone w piwnicy. Kiedyś było tam studio nagraniowe, ale w ostatnich latach nikt go nie używał, dlatego zupełnie zapomniała o tych pomieszczeniach.

Zeszła ostrożnie i czubkami palców pchnęła drzwi.

Na środku wielkiego, zakurzonego pokoju siedział Mike z gitarą na kolanach i słuchawkami na uszach. Co jakiś czas przerywał granie i notował coś w leżącym obok zeszyte.

Nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Od lat nie napisał żadnej piosenki!

Teraz łzy napłynęły same. Gorące i szybkie. Powinna mieć więcej wiary, bardziej mu ufać.



Zerknęła na niego jeszcze raz. Nawet nie wiedział, że tu weszła.  
Uśmiechał się lekko i nucił coś pod nosem.

Otarła łzy wierzchem dłoni, uśmiechnęła się blado do siebie i powoli, ostrożnie, zamknęła za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Spędził na tej metalowej ławce prawie godzinę i wiedział jedno - nie ma pozycji, w której dałoby się tu wysiedzieć dłużej niż pięć minut. Poskrobał paznokciem brzeg ławki, gdzie łuszczyła się farba, ale zaraz przestał, skarcony surowym wzrokiem siedzącej za biurkiem dziewczyny.

Zauważyła, że zerknął na zegarek, i powiedziała:

- Detektyw Carlisle zaraz się panem zajmie.

Ponieważ mówiła to już kilka razy, nie pozostawało nic innego jak grzecznie się uśmiechnąć i uzbroić w cierpliwość. Po raz kolejny.

Gniew, który wypełniał go wczoraj wieczorem, zdążył już wyparować. Teraz został tylko smutek i poczucie winy. Świadomość, że jego ojciec zasłużył na to, wcale nie poprawiała Jake'owi humoru.

Rozmawiał już z Mel i powiedział jej, co zamierza zrobić. Rozpłakała się i przyznała, że spotkała się z ojcem kilka razy. Wiedział, czym to mogło grozić. Dlaczego do tego dopuścił?

Czas to skończyć. Załatwi tę sprawę równie szybko i konkretnie, jak wczorajszą rozmowę z Sereną. Potem zacznie nowy rozdział życia.

Podjmował takie budujące postanowienia mniej więcej co dziesięć minut, ale mimo to nie był w stanie o niej zapomnieć. Wciąż wracały do niego obrazy z wczorajszego wieczoru. Kiedy od niego wychodziła, był w niej taki

spokój, brak nadziei i rezygnacja, że pękało mu serce od samego patrzenia. Ofiarował jej wszystko, co mógł, ale ona to odrzuciła.

Z dalszych rozmyślań wyrwał go mężczyzna, który nagle pojawił się w drzwiach.

- Pan Jacobs? Jestem detektyw Carlisle. Czy to pan chciałby złożyć zeznanie?

Wyprostował się jak struna.

- Tak! - potwierdził zdecydowanie. - Tak, to ja.

Zeszła na dół, ostrożnie niosąc tacę z naczyniami.

- Tato?

- Jestem tutaj!

Stał przy stole montażowymi i kręcił jakimiś gałkami.

- Przyniosłam ci śniadanie - powiedziała z uśmiechem. - Całą noc byłeś na nogach?

- Nie. - Zaśmiał się i gestem wskazał jej stojącą w rogu starą kanapę, na której leżał koc.

Uśmiechnęła się. Bała się zawierzyć nadziei, która zaczęła wypełniać jej serce. Od lat nie widziała, żeby był tak pochłonięty pracą.

- Nad czym pracujesz?

- Na razie to tylko pomysł - wykręcił się.

- Zagrasz mi kawałek?

Cały pokój zalała muzyka. Piękna, mocna, nastrojowa, lepsza nawet niż jego kompozycje sprzed lat, bo pełna głębi.

- Wiesz, powinienes pomóc nam przy projekcie muzycznym - powiedziała, kiedy skończył. - Masz tyle doświadczenia! Powinienes się nim podzielić.

- Taki stary piernik nie przyciągnie tłumów młodzieży, zapewniam cię. - Pokręcił głową.

- Wręcz przeciwnie - przekonywała. - Zresztą ja nie mówię o muzyce, tylko o doświadczeniu życiowym.

Roześmiał się tak głośno, że omal nie spadł z krzesła.

- Chyba nie bardzo się nadaję na wzór dla młodzieży ze świetlicy parafialnej!

- To nie jest świetlica parafialna, mówiłam ci już. Poza tym, o to właśnie chodzi - popełniałeś błędy, doskonale wiesz, co to alkohol i narkotyki. I wiesz, że można z tym wygrać. - Podała mu talerz z kanapkami i kubek herbaty. - Obiecuj tylko, że się zastanowisz, proszę.

- Pomyślę - mruknął wymijająco.

- Za trzy tygodnie mamy koncert kończący projekt. Byłoby fantastycznie, gdybyś zgodził się wziąć w nim udział.

Upił łyk herbaty i uśmiechnął się.

I nagle uderzyła ją świadomość, że mimo wszystko miała w życiu wielkie szczęście. Życie przy Mike'u było może trochę chaotyczne, ale zawsze wiedziała, że jest kochana! Przypomniała sobie ojca Jake'a i zadrżała na samą myśl o tym, jak wyglądały ich stosunki. Nic dziwnego, że teraz Jake tak bardzo bał się wszelkich związków.

- Kocham cię, tatku!

W jego oczach pojawił się smutny, trochę zakłopotany uśmiech.

- Wiem - przyznał po chwili. - Jak mógłbym tego nie dostrzegać.

Opiekowałaś się mną przez cały ten czas, kiedy to ja powinienem troszczyć się o ciebie.

- To nie ma znaczenia - zaprotestowała.

- Dla mnie ma.

Objęła go ramieniem za szyję i mocno przytuliła.

- Zrobię to dla ciebie - szepnął jej do ucha. - Zagram z tymi dzieciakami.

Uszczęśliwiona cmoknęła go mocno.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Pomożemy im przygotować występ, a potem zdecydujemy, co chcemy robić w życiu. Oboje zmarnowaliśmy już dość czasu!

- Jestem pewna, że gdzieś tu musi być...

Jake cierpliwie czekał, aż Serena przeszuka wszystkie zakamarki swojej torebki. Wyrzuciła już na stół całą górę śmieci, ale torba zdawała się nie mieć dna, bo wciąż pojawiały się nowe.

Wreszcie wyciągnęła stary bilet autobusowy i odwróciła na drugą stronę, żeby sprawdzić, czy jest na nim zapisany numer telefonu ojca Jake'a. Był.

- Bardzo nam pomogłaś. Dzięki temu policja zaoszczędzi mnóstwo czasu. Zadzwońię do niego, powiem, że przemyślałem sprawę i umówię się z nim.

Wyciągnęła rękę i podała mu bilet. Wziął go, ale bardzo uważał, aby ich palce nie zetknęły się przy tej okazji. Tak było bezpieczniej.

- Myślisz, że da się na to nabrać? Nie będzie nic podejrzewał?

Owszem, to była luka w ich planie, ale nie mieli innego wyjścia.

- Musi się udać.

- Powiedziałeś, że już go szukali. Czego od niego chcą?

- Nie wiem wszystkiego, ale zdaje się, że mają nakaz aresztowania wydany w związku z oszustwami matrymonialnymi. Zgłosiło się też kilka kobiet, którym wprawdzie nie obiecywał małżeństwa, ale naciągnął je na poważne sumy. To wystarczy, żeby wsadzić go za kratki.

Nic nie mówiła, obrócił się więc i ruszył do drzwi.

- Dzięki za to - rzucił jeszcze tuż przed progiem, machając biletem.

Wiedział, że nie było to zbyt eleganckie pożegnanie, ale chciał stąd uciec, zanim zrobi coś głupiego. Jeszcze tylko kilka kroków do furki.

- Jake?

Zostały dwa kroki. Odczekał chwilę, zanim się odwrócił. Silne postanowienia na nic się nie zdały. Jak zawsze miał ochotę przyciągnąć ją do siebie i ucałować gorąco.

- Może byłoby lepiej, gdybym to ja zadzwoniła? - spytała niepewnie. - W końcu łatwiej uwierzy, że to ja wreszcie zmiękłam...

Pokręcił głową stanowczo.

- Nie chcę cię w to mieszać.

- Już jestem zamieszana.

- Nie! - powtórzył.

- Wiesz, myślę, że powinnam to zrobić dla własnego dobra. Nie chcę żyć, zastanawiając się ciągle, czy on znowu się pojawi. Rzeczywiście trzeba zamknąć tę sprawę.

Zamknąć sprawę. Tylko on wiedział, jak bardzo tego potrzebował. I to nie tylko w tej kwestii.

- Dobrze, powiem o tym detektywowi Carlisle'owi i zobaczymy, co on zdecyduje - obiecał. Może przy odrobinie szczęścia uda mu się utrzymać Serenę z dala od tej sprawy.

Piętnaście minut później przed jej domem pojawił się mężczyzna ubrany w wymięty garnitur. Jake poprowadził go do drzwi i przedstawił Serenie.

- Witam pana, detekywie Carlisle. Miło pana poznać.

Wiedziała, że jeśli nie przestanie chodzić w kółko, zaraz wydepcze ścieżkę w dywanie. Nie wiadomo który raz podeszła do okna i rozplaszczyła nos na szybie, wyglądając szarego płaszcza.

Mijała właśnie druga godzina czekania. To chyba nie może już trwać zbyt długo.

Jake siedział w kącie i bawił się, przesuwając niewielką mosiężną figurkę po blacie stolika.

- Usiądź - odezwał się w końcu. - W głowie mi się już kręci od twojego chodzenia.

- Lepiej? - spytała, siadając na krześle.

- Znacznie - przyznał.

Zapadła ciężka cisza. Jake wybijał palcami na stole rytm nieznaney piosenki, ale z jakiegoś powodu bardzo ją to drażniło.

- Zrobię sobie jeszcze kawy - powiedziała, chcąc przerwać ciszę. Musiała coś robić, nie mogła tylko siedzieć i czekać. Doprowadzało ją to do szaleństwa. Zdecydowanym ruchem sięgnęła po filiżankę.

- Ty też chcesz?

- Poproszę. Bez mleka, dwie łyżeczki cukru.

- Dobrze. Idź na dół i zapytaj tatę, czy też ma ochotę.

Kilkanaście minut później siedziała sama w salonie. Jej filiżanka od dłuższego czasu była już pusta, a kawa Jake'a dawno ostygła. Zaniepokojona postanowiła go poszukać. Najpierw jednak podgrzała mu kawę w kuchence mikrofalowej. I co z tego, że będzie niesmaczna? Na pewno nie zamierzała robić mu drugiej.

Znalazła go w studio. Siedzieli razem z ojcem na wysokich stołkach i brzdąkali coś na gitarach.

Postawiła kawę na półce.

- Proszę. Wystygła, więc podgrzałam w mikrofalówce. Musi być pyszna - powiedziała z przekąsem.

Jake uśmiechnął się, ale nie przerwał gry.

- To moja wina, skarbie - odezwał się ojciec. - Zatrzymałem go tutaj.

Nie chciało jej się, wracać na górę. Przeszła w kąt, usiadła na sofie i wyciągnęła nogi. Słuchała rozluźniających dźwięków muzyki i nagle odpłynęło gdzieś całe napięcie ostatnich godzin.

- Jake... - odezwała się, kiedy na chwilę odłożyli gitary. - Zagraj nam to, co kiedyś u ciebie słyszałam. No dalej, nie daj się prosić.

Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszeli dzwonek do drzwi. Wszyscy odruchowo poderwali się na nogi.

- Co robimy? - spytała zdenerwowana.

W tym momencie zadzwonił telefon Jake'a. Zorientowała się, że rozmawia z detektywem. Po chwili Jake rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

- Mają go - powiedział matowym głosem. - Muszę tam iść, żeby potwierdzić tożsamość.

Nie patrząc na nich, wyszedł ze studia i pobiegł na górę.

Nie namyślając się długo, wyleciała za nim. Dotarła do holu właśnie w chwili, gdy Jake zamykał za kimś drzwi. Miał twarz wykrzywioną bólem.

- Jake, kto to był? Czy to on? Powoli kiwnął głową.

- Tak. Mają go - powtórzył.

Podeszła do okna i odchyliła zasłonę. Charles Jacobs starszy siedział w radiowozie, otoczony przez dwóch policjantów. Stojący obok detektyw Carlisle pokazał jej uniesiony kciuk.

- Więc to już? To wszystko?

Nie patrzył na nią. Zdawało się, że w ogóle nic nie dostrzega.

- Tak, to koniec.

- Myślałam, że wszystko potoczy się dużo bardziej dramatycznie - zaśmiała się nerwowo. - Wiesz, oczekiwałam okrzyków w rodzaju: Stać! Policja!

Nic nie. odpowiedział. Nie była nawet pewna, czy jej słowa w ogóle do niego dotarły. Powoli zdjął płaszcz z wieszaka.

- Podziękuj ojcu. Do zobaczenia.

Patrzyła, jak odchodzi. Ogarniało ją okropne, przerażające poczucie paralizującej bezsilności.

- Przyjdiesz na koncert w przyszłym...

Chyba jej nie słyszał. Był już przy furtce. Odchodził z jej domu i z jej życia.

Poszła na górę, rzuciła się na łóżko i zapadła w czarną otchłań.

Zatrzymała się przed fasadą teatru. Budynek najlepsze lata miał już za sobą, ale nadal robił wrażenie, mimo zniszczeń, obdrapanej farby i gołębih odchodów. Wzięła głęboki oddech, poprawiła włosy i powiedziała sobie po raz kolejny, że jest głupia. W końcu nawet nie wiedziała, czy on w ogóle się tu pojawi.

Max byłby zrozpaczony, gdyby Jake nie przyszedł. Ciężko pracowali na tę chwilę. Wielka gala w teatrze miała być podsumowaniem projektu, a być może również początkiem czegoś poważniejszego.

Ledwie przekroczyła próg, natknęła się na Cassie i Steve'a.

Przyjaciółka rozglądała się nerwowo, jakby chciała policzyć wszystkich gości.

- Steve, powiedz jej, ile znakomitości zaprosiliśmy - trajkotała podekscytowana.

- Poza twoim ojcem i Kevinem będzie burmistrz, dwóch piłkarzy i mało znana modelka - wyjaśnił spokojnie Steve. - Wszyscy zgodzili się przyjść, bo nie chcą przegapić okazji ujrzenia swojego nazwiska w gazetach.

- O! Patrzcie, Mel! - Cass zamachała gwałtownie rękami, aby Mel ich dostrzegła.

Steve zerknął na zegarek

- Za pięć minut kurtyna idzie w górę - powiedział. - Muszę zebrać razem wszystkich sponsorów i ważniaków. Idę.

Zniknął w tłumie, a wtedy Cass nachyliła się do jej ucha.

- On tu jest! Przyszedł kilka minut temu. Sądziłam, że powinnam cię ostrzec.

Żołądek nagle jej się ścisnął, ale próbowała to zignorować.



Dobrze. Ostrzeżona znaczy uzbrojona. Będzie obojętna na wdzięk Jake'a, chłodna i ironiczna.

Podeszła do nich Mel i razem weszły na salę. Cass i Steve mieli miejsca bliżej sceny, a Serena i Mel przesunęły się w głąb i szukały swojego rzędu.

- No, proszę! Kogo tu przyniosło! - usłyszała nagle zagniewany głos Mel.

Podążyła za jej wzrokiem i po chwili spytała:

- Kim jest ta kobieta i dlaczego uwiesiła się na twoim bracie?

Mel prychnęła lekko.

- Uważa się za wielką modelkę. Tak naprawdę kilka jej zdjęć pojawiło się w katalogach ubrań firm wysyłkowych i gazetkach z supermarketów. Ale i tak jest przekonana, że wszyscy powinniśmy paść jej do stóp. Nie cierpię tej krowy!

- Mel! - Spojrzała zaskoczona na dziewczynę. - Nigdy nie słyszałam, żebyś tak o kimś mówiła!

- Bo nigdy nie spotkałaś nikogo takiego.

- Jake chyba ją lubi - powiedziała ostrożnie. Miała nadzieję, że jej głos nie zdradzał tego, co czuło serce. - Wygląda na to, że są w dość... zażyłych stosunkach.

- Kiedyś lubił - przyznała Mel z ciężkim westchnieniem. - Kiedy był młodszy i głupszy, dużo głupszy - podkreśliła - omal jej nie poślubił.

Więc to była Chantelle!

Zmierzyła rywalkę uważnym spojrzeniem. Blondynka, długie nogi, duży biust. Pełen zestaw atrybutów, których jej niestety brakowało.

- Nigdy jej nie lubiłam - ciągnęła Mel. - Odkąd pamiętam, traktowała Jake'a jak śmiecia, zwłaszcza przed samym zerwaniem.

Zerknęła na Mel, niepewna, czy myślą o tym samym człowieku. Jake, jakiego znała, zawsze chciał decydować i nigdy nie pozwalał kobietom wodzić się za nos. To ona zabiegała o jego uwagę i podtrzymywała ich związek. Gdyby ją kochał, naprawdę kochał, to przeniósłby góry, przepłynął ocean i co tam

jeszcze śpiewają w tych głupich piosenkach, byle tylko z nią być. Jeśli szukała dowodu na to, że nie jest kobietą dla niego, właśnie dostała go na tacy.

Westchnęła głęboko. Nie rozumiała, jak to jest, że taka Chantelle mogła się grzać w promieniach jego uwielbienia, zdobyć go i sterować nim według swoich zachcianek.

Wydawał się na to zbyt inteligentny, ale widocznie pozory mylą.

- Jaka ona jest, Mel? - zapytała zaciekawiona. - Jak ona to robi? Nie pojmuję...

Mel przeniosła wzrok na przedmiot tych rozważań i oczy jej się zwęziły.

- Jest jak zmija. Śliska i zwinna. Zawsze podejrzewałam, że chce zerwać ich związek, ale nie ma ochoty zrobić pierwszego kroku, bo jej rodzice wydali mnóstwo pieniędzy na przygotowanie wesela. Sprytnie wkręciła w to Jake'a, a sama wyszła na biedną męczennicę. Mogłam się domyślić, że przyjdzie tu dzisiaj. Nie przepuściłaby okazji do darmowej reklamy, musiała wypełznąć ze swojej nory!

Chociaż serce jej krwawiło, musiała się uśmiechnąć. Nigdy dotąd nie widziała, aby Mel do takiego stopnia dała się ponieść emocjom.

Kątem oka sprawdziła, gdzie zmierzają Jake i Chantelle. W rzędzie C, ich miejsca były w rzędzie B. Niedobrze. Mogła tylko mieć nadzieję, że będą siedzieć w przeciwległych końcach.

Niestety, los znów z niej zadrwił. Siedziały dokładnie przed nimi.

- Dobry wieczór, Jake. - Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Wyglądał, jakby chciał wtopić się w fotel. - Nie przedstawisz mnie swojej partnerce?

Rzucił jej krótkie, pełne irytacji spojrzenie i wymamrotał coś niezrozumiałego. Za to królowa wybiegów wyciągnęła wypielęgnowaną dłoń ozdobioną bajecznie kolorowymi paznokciami.

- Chantelle - powiedziała, obdarzając ją podejrzliwym spojrzeniem. - A ty jesteś...?

- Serendipity Dove. Miło cię poznać. - Z trudem rozciągnęła policzki w uśmiechu.

Chantelle szeroko otworzyła oczy i nadąsana mina zamieniła się w próbę uśmiechu.

- Twój ojciec też będzie występował, prawda? - zaświergotała. - Musimy sobie pogawędzić podczas przerwy. Obie żyjemy na świeczniku, więc pewnie będziemy miały sporo wspólnych tematów.

Z boku rozległo się lekkie chrząknięcie. Serena odwróciła głowę i zobaczyła, że przybyła Mel z odsieczą.

- Ach, to ty, Melisso! Ledwie cię poznałam. Niesamowite, jak wyrosłaś i zeszczipiałaś! - Chantelle zniżyła głos do scenicznego szeptu i dodała: - Nikt by teraz nie uwierzył, że miałaś kiedyś takie problemy z pryszczami na twarzy!

Mel wyglądała jak doberman, który właśnie szykuje się do ataku. Na szczęście przygasły światła i szum rozmów na sali ucichł.

Serena skupiała się na występie i starała się nie myśleć o kobiecie siedzącej za jej plecami.

W pierwszej części śpiewał chór gospel. Porwali publiczność, która radośnie klaskała i przytupywała w rytm ich śpiewu. Oczywiście nie wszyscy. Chantelle była zbyt zajęta szeptaniem swoich błyskotliwych uwag do ucha Jake'a, aby zwracać uwagę na to, co dzieje się na scenie.

Gdy zaczęła się przerwa, Serena próbowała uciec, ale Chantelle wybiegła za nią, wołając:

- Świetny pomysł! Najpierw trzeba przypudrować noski. Zaczekaj, kochana, idę z tobą!

Nie zamierzała czekać. Pobiegła do baru i zamówiła duży džin z tonikiem. Upiła łyk i zamknęła oczy. Zaraz jednak usłyszała zbliżające się ku niej kroki. Przygotowana na najgorsze uchyliła powieki, ale ku swej uldze zobaczyła Cassie i Steve'a.

Uścisnęła przyjaciółkę z całej siły, szczęśliwa, że ją widzi.

- Udusisz mnie! - zaprotestowała Cass.

- Przepraszam, ale nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to ty!

Zaskoczona Cassie uniosła brwi.

- To długa historia. - Serena machnęła lekceważąco ręką. - Opowiem ci, ale najpierw postawię ci coś mocniejszego. To co zawsze?

Cassie uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

- W moim stanie wołałabym lemoniadę.

- Ty, lemoniadę? W jakim stanie... - Zdezorientowana spojrzała na Steve'a, który aż promieniał dumą. - Chyba nie jesteś...

Cassie pokiwała głową.

- Kochanie, to cudownie! Co za wspaniała nowina! Uściskała przyjaciółkę, tym razem już ostrożniej, i trzymając ją w objęciach, starała się rozpaczliwie nie okazywać zazdrości.

Nie chodzi o to, że się nie ucieszyła z nowiny. Wiedziała, że będzie kochała to dziecko jak własne. Po prostu w okrutny sposób zobaczyła, jak jałowe było jej życie w porównaniu z tym, co działo się u przyjaciół.

- Chciałam ci powiedzieć już wcześniej, ale nie wiedziałam, czy to dobry moment - tłumaczyła Cassie. - Ostatnio twoje sprawy nie układały się najlepiej...

Zanim zdążyła odpowiedzieć, za plecami Cassie dostrzegła błysk platynowej farby do włosów i wiedziała już, że nie ma szans skryć się przed Chantelle. Ta kobieta musiała mieć wmontowane jakieś urządzenie naprowadzające!

- A teraz będą się układały jeszcze gorzej - zdołała szepnąć przyjaciółce.

- Tu jesteście! - usłyszała piskliwy głosik. - Mamy więc czas na pogawędkę!

Przyjaciele odeszli odwołani przez kogoś z obsługi, Serena została więc sama, wystawiona na żer Chantelle.

Blond piękność odwróciła się do Jake'a, który szedł za nią, równie szary jak jego garnitur.

- Jake, przynieś mi trochę białego wina. Mógłbyś? - Odprawiła go gestem dłoni i szepnęła do Sereny konfidencyjnie: - Nie zwracaj na niego uwagi. Cały wieczór jest nie w humorze. Ale ja się tym nie przejmuję. Wiem, jak sobie radzić z jego nastrojami. Wiele nas kiedyś łączyło, pewnie słyszałaś?

- Nie bardzo. - Sama była zdziwiona, jak lekko udało jej się to powiedzieć, zważywszy, że miała zaciśnięte zęby.

- Och, kiedyś niemal za niego wyszłam, ale rozmyśliłam się w ostatniej chwili. Chyba nigdy się z tym nie pogodził. Słyszałam, że od tamtego czasu nie umiał sobie, biedak, ułożyć życia.

Chantelle spojrzała na nią spod opuszczonych rzęs, zapewne chcąc sprawdzić, czy te rewelacje należycie ją oszołomiły. Mel miała rację. Ta kobieta to żmija. I wcale nie taka głupia, jak mogłoby się wydawać.

- Tak, trochę nam wtedy nie wyszło - ciągnęła, udając zamyślenie. - Fatalnie się złożyło. Tuż przed ślubem dostałam duży kontrakt jako modelka.

Pewnie w reklamie karmy dla psów, pomyślała Serena złośliwie.

- A Jake był taki poważny. Ciągle tylko albo pracował, albo zdawał te swoje egzaminy. Nie chciał chodzić ze mną na przyjęcia. Pragnął stabilizacji. - Skrzywiła się lekko. - Ciągle gadał o takich banalnych rzeczach jak dom i dzieci. Nie chciał zrozumieć, że przede mną właśnie otwierają się wielkie możliwości. Miałabym zrezygnować? Zająć w ciążę i wyglądać jak balon, kiedy moja kariera właśnie nabierała rozpędu?

Ramię w szarym garniturze podstawilo kieliszek pod nos Chantelle.

- Jake, ty gapo! - zaśmiała się, spoglądając na niego z pobłażliwą przyganą. - To jest wytrawne, a ja przecież lubię tylko półsłodkie.

Na szczęście w tym momencie odnaleźli ich Cass i Steve, który popełnił duży błąd, pytając Chantelle o jej karierę. Rozmowa natychmiast zamieniła się

w długi monolog o projektantach mody, z którymi pracowała, i o jed-nosezonowych gwiazdorch pop, których porzuciła ze złamanym sercem.

Serena nawet nie próbowała tego słuchać.

- To nie jest tak, jak wygląda - usłyszała nagle szept Jake'a tuż nad uchem.

Nie miała ochoty słuchać jego żalosnych wyjaśnień. Energicznie odstawiła szklanę na pobliski stolik i powiedziała:

- Cóż, zostawię was, muszę już iść.

- Naprawdę musisz? - szczerze zmartwiła się Chantelle. - Myślałam, że poznam twojego tatę...

Niedoczekanie, pomyślała.

- Nie sądzę, żeby miał dzisiaj czas. Jest bardzo zajęty. Nie mogła dopuścić, żeby Chantelle znalazła się w promieniu nawet dziesięciu metrów od ojca. Wiedziała, jak taki typ kobiet reaguje na znane nazwisko i wizję sutego konta w banku. Jake zostałby porzucony, zanim zdążyłby się zorientować, a ona wkrótce musiałaby mówić do Chantelle „mamo”.

Przecisnęła się do swojego rzędu i spróbowała skupić na występie. .

Tymczasem na scenie pojawił się jej ojciec, Max i kilku klawiszowców. Cały zeszły tydzień ćwiczyli w piwnicy, aż dom drżał w posadach. Piosenka była połączeniem rocka i hip-hopu, zwieńczona mocnym wokalem Maksa. Jeśli ten chłopak w ciągu najbliższych kilku miesięcy nie zdobędzie kontraktu z jakąś wytwórnią, to ona zje swój kapelusz.

Czuła chude kolana Chantelle wbijające się w oparcie jej fotela i przeżywała koszmar. Wyobrażała sobie scenki, które rozgrywały się za jej plecami, i czuła, jak żołądek ścisną jej się z bólu.

Ciekawe, jak potoczyłoby się wszystko, gdyby skorzystała z propozycji Jake'a i zamieszkała z nim?

Hm, przez jakiś czas mogłoby być miło, ale wiedziała, że tak naprawdę oznaczałoby to koniec jej marzeń. Zostałaby na lodzie, sama, porzucona, może zbyt stara, żeby znaleźć innego partnera i mieć z nim dziecko.

Właśnie! A gdyby zaszła w ciążę z Jakiem? Nawet gdyby ich związek się rozpadł, miałyby dziecko...

Aż wzdrygnęła się, zniesmaczona tymi pomysłami. Nie mogłaby zrobić tego Jake'owi. Czułby się złapany w pułapkę, postawiony w sytuacji bez wyjścia i w końcu znienawidziłby ją. Pragnęła przecież jego serca i uczuć, a nie tylko wspólnego vana w garażu i dwóch szczoteczek do zębów w łazience.

Tak, powtórzyła w myślach z mocą. Pragnę zdobyć jego serce i miłość. Nic więcej się nie liczy.

Zastanawiała się tylko, ile jest gotowa poświęcić, by je zdobyć.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Koncert właśnie się zakończył. Tłum szeroką falą płynął do wyjścia, a ona szybko przecisnęła się do tylnych drzwi. Przeszła na korytarz wiodący za kulisy, oparła się o ścianę i przez chwilę stała spokojnie, oddychając chłodnym powietrzem.

Wiedziała, że Chantelle nie jest prawdziwym zagrożeniem. Nawet jeśli chciała grać rolę femme fatale. Jake wyraźnie nie był zainteresowany jej propozycją.

Zrobiła jeszcze kilka głębokich wdechów i przeszła na dół, do garderoby ojca. Przed drzwiami zobaczyła znajomą twarz Benny'ego.

- Cześć, Benny! Jak ci się podobał koncert? Kiwnął głową.

Niezła pochwała. Uśmiechnęła się i pchnęła drzwi. Ojciec siedział na stole otoczony gromadką rozentuzjasmowanych nastolatków.

Przecisnęła się do niego i pocałowała go w policzek.

- Brzmiało wspaniale - powiedziała z uznaniem. - Od lat tak nie grałeś.

- Bo po raz pierwszy od lat byłem w stanie skoncentrować się na strunach  
- uśmiechnął się.

- Tato, nie pójdę nigdzie z wami świętować. Muszę wyprostować moje sprawy.

- Chyba już najwyższy czas. Zamarła.

- Może i jestem stary, ale nie ślepy. Już czas, żebyście razem z panem w trzyczęściowym garniturze wszystko sobie wyjaśnili. Zresztą ja i Maks też mamy kilka spraw do omówienia. Musimy przygotować demo dla wytwórni.

Max siedział obok i z uporem, całkowicie bezskutecznie, starał się udawać, że wcale nie jest podekscytowany.

- Jesteś gwiazdą - powiedziała do chłopaka, a on się zarumienił. Max się zarumienił!

Usłyszała stukot wysokich obcasów w korytarzu i jej uśmiech zgasł. Radar Chantelle działał niezawodnie. Serena poderwała się na nogi i podeszła szybko do Benny'ego.

- Zrób wszystko, żeby ta kobieta tu nie weszła! Kiwnął lekko głową i stanął w drzwiach. Wiedziała, że Chantelle może użyć wszystkich swoich sztuczek, ale nie przekroczy progu pokoju.

Wyszła na korytarz. Chantelle chodziła nerwowo, wpatrując się w kolejne drzwi i zastanawiając się pewnie, za którymi z nich skrywa się Mike. Jake szedł wolnym krokiem, z rękoma w kieszeniach.

Spojrzał w jej kierunku i obydwójce stanęli. W tym momencie korytarz wypełnił tłum fanów. Serena nagle zrozumiała, że blond kocica nic nie znaczy dla Jake'a. To dlatego przed ślubem z nią ogarnęły go wątpliwości.

Mówił, że nie może jej dać żadnych gwarancji. Ale w miłości nikt nie ma gwarancji, jest tylko ryzyko.

Na chwilę spuściła wzrok, a kiedy go uniosła, znikły wszystkie zahamowania. W jej oczach były miłość i tęsknota.



Zacząła przepychać się przez tłum i dostrzegła, że on robi to samo. Po chwili stali przed sobą, twarzą w twarz. Oboje wiedzieli, że jeśli teraz się dotkną, wybuchnie pożar, a to nie było właściwe miejsce.

- Musimy porozmawiać - powiedziała tylko.

- Odwiozę cię do domu.

- A Chantelle? Wzruszył ramionami.

- Ja jej tu nie zapraszałem. Sama przysłała i sama wróci. Przykleiła się do mnie jak rzep.

- Wiem.

Słyszeli, jak Chantelle próbuje słodkimi słówkami skruszyć niewzruszonego Benny'ego. Uśmiechnęli się do siebie, wzięli za ręce i ruszyli do wyjścia.

Nie odrywali od siebie wzroku przez całą drogę do samochodu. Podróż do domu przebyli w milczeniu ciężkim od obietnic.

Kiedy już zatrzymali się przed jej domem, płonęła z pragnienia.

Wchodzili po schodach, kiedy nagle zatrzymał się i odwrócił ją do siebie. To, co zobaczyła w jego spojrzeniu, sprawiło, że zadrżała jeszcze bardziej. To było dużo więcej niż pożądanie, to było coś bogatszego i głębszego. Coś, co z czasem mogło przerodzić się w miłość.

Chłonęła to spojrzenie i rozkoszowała się nim.

Powoli zaczęła zbliżać się do jego ust, celowo przeciągając słodkie oczekiwanie. Jednak Jake nie chciał czekać. Zaczął ją całować i nie przestawał, nawet kiedy objęci szli na górę.

Sama nie wiedziała, jak udało jej się otworzyć drzwi. Wpadli do holu, klucze brzęknęły o podłogę, po chwili upadły tam też ich płaszcze. Jake nogą zamknął drzwi.

Pochyliła się i całowała jego nos, powieki, brwi.

Ona też się bała, ale odrzuciła lęki i skoczyła w przepaść z zamkniętymi oczami. A teraz fruwała nad tą przepaścią, gotowa do miłości. I to było wspaniałe.

Chciała poprowadzić go w ten nieznany świat krok po kroku. Jeśli przegrają, to trudno, tak bywa. Przynajmniej spróbują.

Wzięła go za rękę i prowadziła po schodach. Drzwi sypialni zamknęły się za nimi i zapadła cisza. Oboje wiedzieli, że to wyjątkowa chwila. Żadnego pośpiechu, chciała pamiętać każdy dotyk.

Podszedł bliżej i całował ją. Jego usta były takie delikatne, że lzy wzruszenia napłynęły jej do oczu. Wiedziała, że cokolwiek przyniesie przyszłość, ona nigdy nie będzie żałowała swojego wyboru.

Jego palce łagodnie błędziły po jej ciele. Czowała, jak ramiączka sukni napinają się lekko, a potem gładki materiał zsunął się na podłogę. Została w samej bieliźnie, podczas gdy Jake nadal był ubrany.

Zaczęła powoli rozpinąć guziki jego koszuli, potem oboje upadli na łóżko.

- Kocham cię, Jake - wyszeptała.

Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, jakby chciał stopić się z nią w jedno. Czowała jego drżenie i nierówny oddech.

- Sereno...

Powiedz to, powiedz, że też mnie kochasz, zaklinała go w duchu.

- Ja... nie mogę tego zrobić.

Nagle odsunął się od niej. Zimne powietrze omiotło jej ciało.

Przyciągnęła nogi do siebie i skuliła się.

- Przepraszam. Bardzo przepraszam - powtarzał, nie patrząc na nią. - Nie powinienem był do tego dopuścić.

Nie była w stanie wykrztusić nawet słowa. Odwróciła głowę.

- Przepraszam - usłyszała raz jeszcze.

A potem odszedł. Jego kroki dudniły po schodach, potem usłyszała trzask zamykanych drzwi i pisk opon.

Bezsilnie zsunęła się na dywan.

Nie będzie żałowała? Co za głupota. Była tak zaślepiona, że nie widziała najbardziej oczywistych znaków. Oczywiście, że Jake był zdolny do uczuć. Widziała przecież, jak zachowywał się wobec Mel, Maksa, a nawet Chantelle. Okrutna prawda była taka, że nie umiał związać się z nią, nawet na jedną noc. Ofiarowała mu siebie, a on nie przyjął tego daru. Nie chciał jej na żadnych warunkach.

Z trudem przeniosła się na łóżko, ukryła twarz w poduszce i pogрузzyła się w rozpacz.

Powoli otworzyła opuchnięte od płaczu powieki. Usiadła i spuściła nogi z łóżka. Jej stopy natknęły się na wciąż mokre od łez chusteczki. Cała podłoga była nimi zasłana.

Włożyła szlafrok i zaczęła zbierać ubrania z poprzedniego wieczoru. Nigdy już ich nie włoży, za bardzo przypominałyby jej największe poniżenie.

Ogarnęła wszystko i wyszła do kuchni. Mocna kawa powinna rozwiązać choć część kłopotów.

Znów była w punkcie wyjścia. A właściwie w punkcie wyjścia minus sto. Ostatnio, kiedy planowała swoją przyszłość, jej serce nie było rozbite na kawałki i nie krwawiło.

Dotarła do kuchni i wyjrzała przez okno. Właśnie zaczynało świtać. W brzasku poranka ogród wyglądał tak pociągająco spokojnie i pusto.

Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Było cudownie. Zimne powietrze chłodziło rozpalone policzki i pozwalało odetchnąć głęboko. Tego właśnie potrzebowała. Nie myśleć o nim, nic nie czuć.

Teraz innym okiem patrzyła na ojca, który po śmierci matki wpadał w kolejne nałogi. W takiej chwili myśl o ucieczce od świata kuszyła nieodparcie.

Gdyby tylko umiała zapomnieć wyraz jego twarzy, kiedy wychodził.

Sama nie wiedziała, kiedy usiadła na drewnianej ławce pod dębem. Poranna rosa przenikała cienki materiał szlafroka, ale nie zważała na to. Czekala z nadzieją, że zimne powietrze ochłodzi jej serce.

Słońce rzucało już pierwsze blaski, kiedy znalazł ją zaniepokojony ojciec.

- Wejdź do środka - powiedział, biorąc ją za rękę. - Zamarzniesz tutaj.

Pozwoliła wprowadzić się do domu, zbyt wyczerpana, żeby protestować.

- Wszystko poszło potwornie źle, tatusiu - wyszeptała.

- Domyśliłem się, kiedy zobaczyłem cię tutaj. Chodź, zrobię ci grzanekę z boczkiem, to powinno pomóc - uśmiechnął się. - Zrobię ci chociaż dobre śniadanie. Teraz, dla odmiany, ja się tobą zaopiekuję.

Zaprowadził ją do kuchni i posadził na krześle.

- Jesteś silna, jakoś to przeżyjesz - powiedział cicho i pocałował ją w czubek głowy.

Oparła policzek o blat stołu i trwała tak, obserwując obłoczek pary, który pojawiał się i znikał.

Jake spojrział na zegarek. Zerknął przez okno i zobaczył szary ocean. Niedługo będzie po drugiej stronie Atlantyku. Nie była to jeszcze całkiem bezpieczna odległość, ale w każdym razie o wiele bezpieczniejsza.

Oparł łokcie na opuszczonym stoliku i ukrył twarz w dłoniach.

- Wszystko w porządku? - usłyszał zatroskany głos stewardesy.

Uspokoił ją i potarł skronie kciukami. Nie chciał nawet myśleć o tym, jak bardzo musiał ją zranić. Był pewien, że go znienawidziła, ale tak było lepiej. Gdyby zostawił jej jakąkolwiek nadzieję, traciłaby czas, czekając na niego, zamiast poszukać kogoś, kto da jej wszystko, na co zasługiwała.

Co za wstyd! Nie płakał, odkąd miał trzynaście lat i jego ukochana drużyna przegrała puchar. Wstrzymał oddech i próbował powstrzymać łzy. Prawie mu się udało.

Za dwie godziny będzie w Nowym Jorku. Jeśli zostanie tam dostatecznie długo, wszystko jakoś się ułoży.

Ciągle prześladował go widok porzuconej, skulonej na łóżku Sereny i wyraz jej oczu. Musiał zebrać wszystkie siły, żeby odejść, ale wiedział, że postępuje właściwie. Nie chciał patrzeć, jak powoli umierają jej sny.

Będzie wspaniałą matką. Łatwo mógł sobie wyobrazić, jak bawi się z dziećmi, gania się z nimi po ogrodzie i ozdabia pierniczki na święta.

Cholera! Jego policzki były całkiem mokre. Odwrócił twarz do okna i próbował liczyć mijane chmury.

Serena sięgnęła po słuchawkę.

- Tak? - rzuciła rzeźkim głosem.

- Dziewiąta trzydzieści! Czas wstać! - usłyszała głos przyjaciółki.

- Od dawna już nie jestem w łóżku - powiedziała urażonym tonem. - Zjadłam śniadanie i teraz siedzę przed komputerem.

Z drugiej strony dobiegł ją pomruk uznania.

- Cieszę się, że przestałaś rozczulać się nad sobą.

- Nie rozczulam się - zaprotestowała. - Od jakiegoś czasu pracuję nad czymś ważnym. Uwierz, jestem już dużą dziewczynką i potrafię wstać, kiedy zechcę.

- Cóż, jeśli tak właśnie się czujesz...

- Cass, proszę. Wiem, że troszczysz się o mnie, ale postanowiłam, że muszę stanąć na własnych nogach.

- Chciałam ci tylko pomóc - w głosie Cassie brzmiała lekka uraza.

- Wiem. I za to cię kocham. Po prostu uznałam, że czas dorosnąć. Za długo kryłam się za tatusiem i udawałam, że muszę się nim zajmować. Nawet jeśli tak było, to tylko część prawdy. Najwyższy czas zacząć własne życie i podjąć własne ryzyko!

- Nieźle! - mruknęła Cass z uznaniem. - O jakim ryzyku mówisz?

- Możesz zorganizować dla mnie randkę w ciemno - oświadczyła, idąc za ciosem.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, trwała tak długo, że Serena zaczęła się niepokoić.

- Chyba żartujesz! - usłyszała w końcu.

- Nie. Mówię zupełnie poważnie.

Kilka dobrych sekund trwało, zanim przyjaciółka wyrzuciła z siebie kolejne dwa słowa: - Ale... Jake...

- Jest już przeszłością - oświadczyła z mocą Serena. - Muszę iść naprzód.

- Jesteś tego pewna?

- Całkowicie. Umów mnie z kimś u Lorenza. A przy okazji, moglibyście wpaść tam ze Steve'em jutro na obiad? Chcielibyśmy z tatą przedstawić wam pewien pomysł.

- Brzmi obiecująco.

- Jutro się przekonasz, jak bardzo. Do zobaczenia. Dbaj o siebie.

- Ty też. Do jutra.

Serena odłożyła słuchawkę i wpisała spotkanie do kalendarza. Jutro właśnie mijały cztery tygodnie od dnia, kiedy ostatni raz widziała Jake'a.

Włączyła internet i rozwinęła listę zakładek. Na pierwszym miejscu był link do jego firmy. Jednym kliknięciem przeniosła go do kosza. Wiedziała, że to najlepsze, co może dla siebie teraz zrobić, ale mimo wszystko ogarnął ją smutek.

To nieprawda, że Jake był przeszłością. Jej uczucia się nie zmieniły, ale dojrzała na tyle, by zrozumieć, że musi iść naprzód. Postanowiła wziąć życie w swoje ręce i nie oglądać się, do tyłu.

Dlatego zaproponowała, by Cassie umówiła ją na kolejną randkę. Serce nadal ścisnęło jej się z rozpacz na każdą myśl o nim, ale to przejdzie. Chciała wierzyć, że pewnego dnia spotka kogoś, kto będzie ją kochał i wspierał. Może i tak, ale to Jake był miłością jej życia. Ta wyświechtana fraza nabrała nagle

nowego znaczenia. Nawet jeśli znajdzie kogoś miłego, z kim będzie dzieliła resztę życia, jakaś część jej serca na zawsze będzie należeć do Jake'a.

- Co o tym myślisz? Steve aż klasnął w dłonie.

- Uważam, że to doskonały pomysł! Oboje z ojcem wymienili uśmiechy.

- Jak zamierzasz to nazwać? - spytała Cassie.

- Może Fundacja Feniks? - zaproponowała Serena. - Jeśli oczywiście inni członkowie zespołu nie będą mieli nic przeciwko temu.

Jej ojciec wzruszył ramionami.

- Zapytam ich, ale nie sądzę, żeby to był problem.

- To świetna nazwa dla tego projektu - zauważył Steve. - Będziemy promować różne przedsięwzięcia muzyczne w zapomnianych dzielnicach i dawać nadzieję młodym ludziom.

Serena uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- Z czasem, gdy fundacja się rozwinie, będziemy mogli przyznawać stypendia najbardziej utalentowanym albo nawet uzyskać dla nich staże w przemyśle muzycznym.

- Z waszymi kontaktami wszystko jest możliwe.

Zaczęli się wymieniać pomysłami i wizjami dotyczącymi projektu. Serena rzucała kolejne propozycje. Czuła, jak bardzo ją to pochłania i musiała przyznać, że taka działalność była dla niej wybawieniem. Dla niej i dla ojca. Oboje chcieli robić coś sensownego i wartościowego, aby zapomnieć o fatalnych uzależnieniach.

- Mario! - zawołała w stronę baru. - Podaj cztery drinki bezalkoholowe. Z parasolkami! Świętujemy!

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Merv Blumstein patrzył na niego wyczekująco.

- Rzucił pan okiem na możliwości inwestowania, o których wspomniałem? Co pan o nich myśli?

- Na ile możemy to stwierdzić, wyglądają obiecująco. - Jake jeszcze raz zerknął w zestawienia i dodał: - Nie można zagwarantować dużego zysku, ale nie jest to też pewna klęska. Nie ma żadnych gwarancji, jak w życiu... - Zamyślił się na chwilę, ale znaczące chrząknięcie przywołało go do porządku. - Podejmujemy oczywiście pewne ryzyko, jednak jest to ryzyko skalkulowane.

Blumstein patrzył niepewnie, widać było, że w duchu waży wszystkie za i przeciw. Był typem, który sam doszedł do swoich pieniędzy, od młodości odkładając każdy grosz i teraz trzy razy się zastanawiał, zanim wydał nawet najmniejszą sumę.

To trochę nierozsądne, skrzywił się Jake w duchu. Ten facet mógłby bez wysiłku podwoić swój majątek, gdyby tylko zechciał zaryzykować. Życie bez ryzyka traci smak.

Zamknął teczkę z dokumentami i podał ją klientowi.

- To oczywiście pańskie pieniądze, panie Blumstein, i zrobi pan z nimi, co zechce. Jednak proponuję rozważyć tę ofertę. Proszę zabrać te dokumenty ze sobą, przejrzeć je jeszcze i dać mi znać, jak zamierza pan postąpić.

Merv podał mu dłoń i wyszedł, ściskając aktówkę. Jake zamknął za nim drzwi, podszedł do okna i wyjrzał na pełne ruchu ulice. Patrzył na przesuwane się dziesiątki pięter niżej niewielkie punkty i zastanawiał się nad tym, co sam przed chwilą powiedział.

Czyżby naprawdę w życiu prywatnym był równie ostrożny jak Blumstein w interesach?



Żadnych gwarancji, przypomniał sobie.

Obrócił się i spojrział na swój gabinet. Niewielka przestrzeń robiłaby dość klaustrofobiczne wrażenie, gdyby nie przeszklone drzwi i ściany. To sprawiło, że pomyślał o ojcu. Co go czeka? Mel dzwoniła niedawno i powiedziała, że wyznaczono już datę procesu. Od wielu tygodni prześladował go obraz ojca prowadzonego do radiowozu. W jego twarzy nie było żadnej skruchy, wstydu, poczucia winy. Nic, tylko ślepy gniew. Jakby wierzył, że to wszystko spotkało go niezasłużenie. Nie pojmował tego, choć nieraz starał się rozgryźć motywy postępowania tego człowieka i ułożyć je w jakąś logiczną całość. Nie udało się. Szkoda jego wysiłku, nigdy chyba tego nie zrozumie.

Zebrało mu się na mdłości. Tak silne, że poczuł skurcz żołądka.

W niczym nie przypomina swojego ojca! W niczym!

Może jest trochę podobny z wyglądu, ale na tym podobieństwo się kończy. Wewnątrz był zupełnie inny. Znowu ten ból w żołądku. A co jeśli popełnił wielki błąd?

Nie był w stanie myśleć o tym. Potrzebował trochę czasu, by to ocenić, jednak był gotów na konfrontację ze swoimi uczuciami. Nawet jeśli prawda okaże się bardzo bolesna, a on wyjdzie na głupca.

Nacisnął guzik interkomu i powiedział:

- Suzan, nie łącz mnie z nikim przez najbliższą godzinę. Wychodzę.

Po pięciu minutach był już częścią kolorowego tłumu na ulicy. Jego ulubiona kawiarnia znajdowała się tuż za rogiem. Mógł tam wypić espresso, a nawet przeczytać angielską gazetę.

Skrecał właśnie do kafejki, kiedy nagle zatrzymał się porażony na widok burzy ciemnych włosów o charakterystycznym odcieniu.

Wpatrywał się w nie, zastanawiając się, czy to nie kolejny omam. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej. Szczerze mówiąc, co najmniej raz dziennie.

Właścicielka ciemnych włosów zatrzymała taksówkę i kiedy wsiadała do niej, zobaczył jej twarz. To nie była Serena.

Wziął się w garść i wszedł do lokalu. Zamówił kawę i rozejrzał się w poszukiwaniu gazety. Niestety, wielki rudy facet zabrał mu „Timesa” sprzed nosa. Zdjął z wieszaka inny tytuł i przeglądał bezmyślnie. Nagle zamarł. Zaczynał się martwić, że naprawdę oszalał. Nawet tutaj widział jej twarz!

Spojrzał na tytuł artykułu: „Powstający z popiołów”. Pod spodem był jakiś tekst o fundacji dobroczynnej. Z trudem zrozumiał jego treść. Cała uwaga Jake'a skupiła się w prawym dolnym rogu, gdzie było zdjęcie Sereny, a podpis pod nim głosił: „Znana gwiazda rocka Damon Blade i Serendipity Dove”.

Poczuł, jak zalewa go fala złości. Miał ochotę oderwać głowę temu przystojniakowi. Nie interesował się światem rozrywki, ale wiedział, że facet uchodzi za niezłego podrywacza. Wyglądał, jakby chciał ją schrupać. Spójrzcie tylko, nawet nie jest w stanie oderwać od niej wzroku i uśmiechnąć się do kamery. Za to, co prawda, nie mógł go winić, bo musiał przyznać, że wyglądała oszaleńczo. Patrzyła w obiektyw, jakby spoglądała prosto na niego.

Serce niemal przestało mu bić. To było śmieszne!

Znowu spojrzał na nią uważnie. Nie uśmiechała się. Jej oczy były smutne, a usta i twarz miały dziwny wyraz. Jakby go wołała... Jeśli chcesz, przyjedź i weź mnie, zanim będzie za późno, zdawały się mówić jej oczy.

Doradzał swoim klientom podejmowanie ryzyka, ale sam był głuchy na tę radę. Kochał ją i wiedział, że ona też go kocha. Doskonale do siebie pasowali, nawet jej ciepło i otwartość były świetnym uzupełnieniem dla jego skrytej natury. Czy to właśnie nie brzmiało jak skalkulowane ryzyko? Gdyby to były interesy, doradzałby podjęcie ryzyka.

Żadnych gwarancji... Nie miał racji. Jedno było pewne. Jeśli jej nie przekona, żeby dała mu drugą szansę, będzie tego żałował do końca życia.

Drzwi do kuchni otworzyły się z trzaskiem i Serena wyjrzała ze spiżarni. W progu stała Cass z triumfalnym wyrazem twarzy.

- Załatwione - oświadczyła dumnie.

- Co takiego?

- Twoja randka. Sobota wieczór, u Lorenza, o dwudziestej. Zadowolona? Jęknęła w duchu. Zupełnie zapomniała, że w chwili szaleństwa poprosiła, żeby Cassie znowu umówiła ją na randkę w ciemno.

- O co chodzi? - spytała Cass, widząc wyraz jej twarzy. - Sama mnie przecież prosiłaś...

- Wiem, ale...

- O, nie! Nie mów tylko, że zaczęłaś spotykać się z Damonem Kobięciarzem! Wiem, że od czasu tego przyjęcia dzwoni do ciebie trzy razy dziennie, ale chyba nie jesteś taka głupia!

Serena rzuciła jej oburzone spojrzenie.

- Więc o co chodzi? - zapytała przyjaciółka, widząc, jak Serena w milczeniu bawi się kubkiem kawy.

- Chyba po prostu nie jestem jeszcze gotowa - powiedziała cicho.

- Bzdura! Czas najwyższy ruszyć na łowy! - przekonywała. - Tego kwiatu to pół świata i takie tam, sama wiesz.

Uśmiechnęła się mimo woli.

- A kim jest tajemniczy kandydat numer 422?

- Panem Właściwym, oczywiście - zaśmiała się Cassie. Spojrzała na nią zde gustowanym wzrokiem.

- Naprawdę, nie chce mi się, Cassie...

- Teraz nie możesz się wycofać. To był twój pomysł. Idziesz tylko zjeść kolację z facetem. Jak ci się nie spodoba, to więcej go nie zobaczysz. Dodam dla porządku, że gość jest wysoki, przystojny i wprost stworzony dla ciebie. Ile razy już to słyszała?

- W porządku - zgodziła się niechętnie. - Ale musisz obiecać, że to ostatni raz!

Stała przed restauracją i zbierała siły, żeby wejść do środka. Wydawało się, że wieki minęły, od kiedy stała w tym samym miejscu w podobnych okolicznościach.

Ta kolacja nic nie znaczy, przekonywała się. Może przecież nigdy więcej nie spotkać tego faceta. Robiła to tylko po to, aby udowodnić coś samej sobie. To miał być symboliczny akt zerwania z przeszłością.

W końcu położyła dłoń na klamce i nacisnęła ją szybko.

- Cześć, Gino! - zawołała.

- Cześć, bambino! Szukasz nowej miłości? Prychnęła lekko.

- Co u Marii?

- Wszystko w porządku. Chętnie bym z tobą pogawędził, ale nie chcemy chyba, żeby twój chłopak czekał.

- To nie jest mój chłopak! - zaprotestowała.

Ale już jej nie słuchał. Wyszedł zza baru i przeprowadził ją na salę.

- Dlaczego tu tak pusto? - zdziwiła się i spojrzała zaskoczona na Gina. -

W sobotni wieczór zwykle są tu tłumy gości.

Stary kucharz wzruszył ramionami.

- Twój chłopak chciał mieć trochę prywatności.

No i pięknie! Randka z pierwszorzędnym szpanerem! Niechętnie rozglądała się po sali, jakby chciała przekonać się, że naprawdę nie ma tu innych gości, podczas gdy Gino prowadził ją do stolika. Tego samego, przy którym kiedyś czekała na Jake'a.

- Nie mogłabym usiąść gdzie indziej? Proszę - spojrzała na niego błagalnie. - Przecież cała sala i tak jest pusta.

Gino stanowczo pokręcił głową.

- Ten dżentelmen miał bardzo konkretne wymagania. I chciał ten stolik. -  
Odsunął jej krzesło, a ona opadła na nie z niezadowoloną miną.

Grymas utrzymywał się jeszcze wtedy, kiedy Gino wrócił z dwoma kieliszkami szampana.

To już był naprawdę zły znak. Jeszcze nawet nie widziała tego faceta, a już działał jej na nerwy.

- No, to gdzie on jest?

Gino nie odpowiedział. Mrugnął tylko do niej i uśmiechnął się do rozanielonej Marii, królującej jak zwykle za barem.

Odsunęła kieliszek.

- Poproszę wodę mineralną.

Uznała, że rozsądniej będzie nie pić alkoholu, dopóki nie zobaczy tego faceta. Gino zniknął na zapleczu, a ona wpatrywała się w obrus. Ich randka najwyraźniej została starannie zaplanowana. Ale facet uzależniony od efektów dramatycznych to ostatnie, czego potrzebowała.

Wodziła palcem po wzorach na obrusie.

Gino coś długo nie wracał, Marii też nie było widać. Uśmiechnęła się na myśl, że jej tajemniczy randkowiec wyskoczy w końcu z wielkiego tortu.

Spragniona upiła w końcu niewielki łyk szampana. Hm, niezłe. Może jeszcze łyk.

Zaczęła uważniej przysłuchiwać się muzyce płynącej z głośników. Głos miał podobną barwę, jak głos Maksa. To był Max, zorientowała się nagle. Przechyliła lekko głowę i wsłuchiwała się w słowa piosenki. Śpiewał coś o tym, że był zbyt wystraszony, aby wpuścić miłość do swojego serca. Piękne słowa, pomyślała. Smutna opowieść o utraconej miłości i straconych szansach.

To było strasznie głupie, ale nie mogła powstrzymać łez. Ta piosenka tak bardzo przypominała ich historię... Max na chwilę przestał śpiewać i wtedy usłyszała mistrzowską solówkę na gitarze. Skądś znała tę melodię. To był utwór Jake'a, który zagrał dla niej tamtego wieczoru, kiedy zaprosił ją do siebie na

kolację. Nie rozpoznała go od razu, bo w pełnej aranżacji melodia brzmiała trochę inaczej.

Po chwili Max znowu zaczął śpiewać. Tym razem słowa piosenki dawały nadzieję, mówiły o miłości na zawsze i wspólnym szczęściu.

Łzy potoczyły jej się ciurkiem po policzkach, ale była zbyt zasłuchana, aby przejmować się nimi. Po chwili usłyszała finalne akordy.

- Wreszcie ją dokończyłem.

Złapała się stołu, przekonana, że cały świat zwariował.

- Odkryłem, że brakowało mi inspiracji. - Jake szedł w jej kierunku.

Próbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wychodziło. - Ty jesteś moją inspiracją, Serendipity Dove. To ciebie potrzebowałem, aby ten utwór stał się kompletny.

Dotarł wreszcie do stołu i usiadł naprzeciwko niej. Przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku i było to tak przejmujące, że co kilka chwil musiała sobie przypominać o tym, aby oddychać. Naprawdę musiała. Łzy wytrysnęły, lały jej się po policzkach niemal strumieniem i zupełnie nie potrafiła nad nimi zapanować. Oczy Jake'a były pełne wszystkich obietnic, które tak bardzo chciała w nich zobaczyć.

Aby otrzeć mokre policzki, sięgnęła po kunsztownie ułożoną serwetkę obok swojego nakrycia. Uniosła ją, a wtedy ze środka wypadło małe aksamitne pudełeczko. Powietrze wokół zdawało się być naładowane elektrycznością.

Zdumiona wciąż wpatrywała się w pudełeczko, kiedy Jake wstał, podszedł blisko i patrząc jej w oczy, ukłękął na jedno kolano.

Przeniknął ją taki dreszcz, że pudełeczko wypadło jej z rąk, ale Jake szybko je przechwycił, otworzył i uniósł, aby mogła zobaczyć zawartość.

W środku był absolutnie zachwycający, cudowny pierścionek. Kwadratowy szmaragd w otoczeniu brylantów, oprawiony w białe złoto. Nie byłaby w stanie nawet wyobrazić sobie czegoś doskonalszego.

- Serendipity Dove - zaczął uroczyście. - Nie nazywam cię Sereną, bo to nie jest twoje prawdziwe imię, a ja kocham cię prawdziwą. Wyjdiesz za mnie?

Wyjął pierścioneł z pudełeczka i niepewnie zbliżył go do jej ręki, ale wciąż patrzył na nią wyczekująco. Wreszcie odzyskała głos.

- Ale ty przecież mnie nie chcesz!
- Chcę cię bardziej niż cegokolwiek na świecie!
- Zostawiłeś mnie!

Jego oczy zachmurzyły się, przez twarz przebiegł cień.

- Przepraszam. - Kciukiem otarł łzę z jej twarzy. - Sądziłem, że tak będzie lepiej. Myślałem, że to będzie szlachetne, ale to było tylko głupie, bardzo głupie. Wiedziałem, jak bardzo pragniesz męża, domu i dzieci. Uciekłem, bo bałem się, że zniszczę twoje marzenia.

- Ale teraz wróciłeś...
- Tak. Wróciłem. I chcę zostać z tobą na zawsze, o ile się zgodzisz, oczywiście.

Jeśli sądziła, że do tej pory jej serce było jak szalone, to właśnie zobaczyła, jak bardzo się myliła. Mimowolnie pokręciła głową. Tego było już za wiele. Chciała mu wierzyć, naprawdę chciała, ale już dwa razy się rozczarowała.

- Spójrz na mnie - poprosił cicho.

W jego oczach zobaczyła prawdę. Nie było w nich ani odrobiny lęku.

- Kocham cię tak, jak nie kochałem nikogo przedtem. Chcę, żebyśmy się razem zestarzelili. Chcę się z tobą kłócić o pilota i o to, kto zmienia następną pieluchę. Chcę, żebyś mi przypominała, gdzie odłożyłem okulary. Proszę, wyjdź za mnie.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że to nie sen. Postanowiła odpowiedzieć szybko, zanim się obudzi.

- Tak, wyjdę za ciebie, Charlie!

Wiedziała, że drgnie na dźwięk tego imienia i nawet rozumiała już, dlaczego tak go nie znosił, ale musiała tak postąpić.

Zaśmiał się i wsunął jej pierścionek na palec. Pasował idealnie, jakby ktoś robił go specjalnie dla niej.

A potem wstali i w jednej chwili znalazła się w jego ramionach. Czują słodki, nabrzmiały tęsknotą i obietnicami smak jego ust i niemal odchodziła od zmysłów ze szczęścia.

Gdzieś z tyłu zaczęły do niej dochodzić inne dźwięki, szepty, a potem głośne brawa i wiwaty. Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła, że nie byli sami. Przy barze stali jej przyjaciele, krzyczeli głośno i wznosili toasty.

- Cassie! Mel! Tato! Co wy tu robicie? Jake pochylił się i szepnął jej do ucha:

- Wynająłem restaurację na nasze przyjęcie zaręczynowe.

Pokręciła głową i lekko uderzyła go w ramię.

- Byłeś bardzo pewny siebie, co?

- Tak naprawdę, to nie - przyznał z cudownym, niepewnym uśmiechem. - Wiedziałem, jak bardzo cię zraniłem, dlatego nie miałem pojęcia, co odpowiesz. Ryzykowałem, że wyjdę na głupca wobec nich wszystkich, ale gdybyś mnie odrzuciła, nic nie miałyby już znaczenia. Tak bardzo bałem się, że powtórzę błędy ojca, że byłem ślepy na wszystko inne. Przez to omal nie zniszczyłem naszej szansy na szczęście. Wybacz mi, proszę.

W tle słyszała, że strzeliły korki od szampana, ale nie odwróciła oczu od jego twarzy.

- Ja też byłem uparta. Było w tym i trochę mojej winy - przyznała. - Miałam swoją naiwną, sielankową wizję przyszłości i nie akceptowałam niczego, co do niej nie pasowało. To też nie było mądre. Najpierw zobaczyłam tylko twój garnitur i dobrą pracę i uznałam, że jesteś idealnym kandydatem na stateczne, spokojne życie. Potem się zakochałam i było mi już obojętne, w co się



ubierasz i czym się zajmujesz. Chciałam tylko ciebie - w garniturze czy dżinsach, obojętne.

- A więc teraz mnie masz - zaśmiał się uszczęśliwiony. - Muszę cię jednak ostrzec, że nie można mnie zwrócić!

- Och, przestań już gadać i pocałuj mnie! Przyciągnęła go mocno za kłapy marynarki i smakowała to cudowne poczucie bliskości. Była w domu. .

Ktoś w pokoju zahuczał głośno - była prawie pewna, że to Cassie. Odsunęli się niechętnie od siebie, szczęśliwi i roześmiani.

- Chyba powinniśmy na chwilę oderwać się od siebie i przywitać naszych gości - szepnął jej do ucha. - Muszę przyznać, że to wszystko nie byłoby możliwe, gdyby nie ich pomoc.

Spojrzała na niego, unosząc pytająco brwi.

- Cassie była kopalnią cennych informacji, no i oczywiście sprowadziła cię tutaj. Twój tata i Max pracowali niemal na okrągło przez kilka ostatnich dni, żeby przygotować piosenkę. Skończyłem ją, dopiero kiedy leciałem do domu. Nie masz pojęcia, jak inspirujący jest taki lot nad oceanem z rozpaczliwą nadzieją w sercu, że nie zepsujesz najlepszej rzeczy, jaką dostałeś od życia.

- Piosenka jest cudowna, to prawdziwa melodia miłości - przyznała. - Ty jesteś cudowny, Charlesie Jacobsie. Kocham cię.

Nie mogła powiedzieć nic więcej, bo otoczyli ich zniecierpliwieni przyjaciele. Było mnóstwo uścisków, życzeń, całusów, żartów i poklepywania się po plecach. Mel była cała we łzach, a Cassie patrzyła na nich z taką miną, jakby wszystko było jej zasługą. Bo tak też było, ale nikt nie chciał jej tego przyznać, żeby nie wbijać jej w jeszcze większą dumę.

Wreszcie znowu do siebie podeszli. Ich palce splotły się, a on popatrzył na nią z uśmiechem. Westchnęła. Tak bardzo chciałaby być teraz z nim sama, z dala od rozmów, żartów i zgiełku.

Spojrzał jej w oczy i bez trudu odczytał jej myśli.

- Później - wyszeptał i pocałował ją za uchem. - Mamy na to resztę naszego życia.

RS